ZYWE SŁOWA

JEREMIEGO

(KORNEL UJEJSKI)

1863-1877.

CHICAGO, ILLINOIS.
Drukiem i nakładem W. Dyniewicza
1907.

ŻYWE SŁOWA

JEREMIEGO

(KORNEL UJEJSKI)

1863-1877.

CHICAGO, ILLINOIS.
Drukiem i nakładem W. Dyniewicza
1907.

I.

Obrona sądowa przy ostatecznej rozprawie w procesie prasowym we Lwowie

(dnia 10go października, 1863.)

Proszę, aby Wysoki Sąd pozwolił mi nieco obszerniej i szczegółowiej, niż to uczynił p. prokurator w swojem oskarżeniu, przytoczyć dwa fakta, odnoszące się do nieśmiertelnych imion Potapowa i Aleksandrowa, które imiona podałem do uwielbienia w dedykacyi zbioru moich poezji pod tytułem: „Dla Moskali," a za który to czyn znajduję się teraz w obec Wysokiego Sądu na ławie oskarżonych.

Znane są całemu światu wypadki w królestwie polskiem na początku roku 1861. Naród jęczący pod uciskiem mongol-

skiego zaboru, zrozpaczony, udał się tam, gdzie się udawać powinno każde cierpienie — udał się do Boga. Modlił się o ulgę, o pociechę, o siłę wytrwania, o nadzieję wybawienia; modlił się tłumnie, bo tak radzi kościół, który wierzy, że modlitwa wspólna, zbiorowa, silniejszą i skuteczniejszą jest od modlitwy pojedyńczych, odosobnionych ludzi; modlił się śpiewając pieśni nabożne, których treść da się sprowadzić do kilku słów „suplikacyi" zaleconych nam przez kościół w razie potrzeby, do słów: Od niewoli zachowaj nas Panie!

To udawanie się do Boga, to uznawanie Jego władzy, nie podobały się absolutyzmowi cara moskiewskiego – temu absolutyzmowi, który na swoją korzyść chciałby zdetronizować i Pana Boga. Modlitwę nazwano buntem. Obmyślono środki represyjne. I pewnego dnia, kiedy lud warszawski w procesyi wychodził z kościoła — a były tam dzieci z obrazkami świętych, kobiety z książkami do nabożeństwa, kapłani z krzyżami w ręku; do tych dzieci, do tych kobiet, do tych kapłanów, do te o ludu bezbronnego przy-

gotowane wojsko dało ognia. I polała się krew na bruku warszawskim, ta sama ludzka, ofiarna krew, która lała się nieraz na cyrkach rzymskich.

Między oficerami stojącymi przed frontem i patrzącymi na ten mord, był oficer młody, o wolnej, niezdemoralizowanej duszy — nazywał się Potapow. Ten na widok przelanej krwi, na widok tego ludu, przypominającego pierwsze czasy chrześcijaństwa, złamał swą szpadę i odrzucił ją. Zaprotestował on biernie, milcząco, jak protestuje się obrażony majestat człowieka w obec brutalnej, przeważającej siły. Potapow za ten czyn został rozstrzelany.

Co się tyczy Aleksandrowa odczytam ustęp z korespondencyi warszawskiej umieszczonej w dzienniku „Czas“ z dnia 18 czerwca 1862 r. Oto ten ustęp:

„Ruch narodowy w Rossji coraz jest silniejszy, żądania im dłużej nie zaspokojone, tem bardziej rosnące w rozmiarach, stają się głębsze i powszechniejsze. Odezwy, plakaty, proklamacye w Petersburgu są dowodem coraz groźniejszego usposobienia ludności i minowania fundamentów despotyzmu. Jedna z pierwszych pro-

klamacyi, rozrzucona w tysiącach egzemplarzy pomiędzy wojsko w Petersburgu, wzywała wojsko przeciw despotyzmowi; druga zatytułowana: „Ziemskaja Duma,“ jawnie i stanowczo postawiła żądanie konstytucyi; trzecia „Ruskaja Prawda“ żąda niepodległości Polski i godzi ruch rossyjski z polskim; czwarta poświęcona jest wspomnieniom Aleksandrowa, skazanego przez sąd wojenny w Warszawie do kopalń syberyjskich. Historyę Aleksandrowa opisano w odezwie w następujący sposób: Przed 8 kwietnia r. b. jenerał Luders telegrafował do Petersburga, że spodziewa się manifestacyi w tym dniu, jako w rocznicę rzezi i pytał się o instrukcyę postępowania z manifestacyą. Cesarz kazał Ludersowi najsurowiej postąpić, użyć siecznej broni, a gdyby ta nie pomogła, kartaczować lud warszawski. Kapitan Aleksandrow był przy urzędzie telegraficznym i depesze wręczał Ludersowi. Powyższą depeszę zniszczył i zmienił ją na depeszę rozkazującą postępować najłagodniej i działać perswazyą. Po skończonym dniu, Luders doniósł, że były po kościołach nabożeństwa żałobne i palmy i korony cierniowe, lecz stosownie do rozkazu

cesarza działał łagodnie, i dzień przeszedł spokojnie. W Potersburgu zdziwieni takim raportem, napisali, że nie rozumiał rozkazu. Rzecz się w krótce wykryła. Aleksandrow, zapytany przez Ludersa, od razu odpowiedział, że zmienił treść depeszy. „Czy wiesz, że to jest zdrada stanu?“ zapytał Luders. „Wiem“ odrzekł kapitan. „Czy wiesz co czeka cię za taki postępek?“ „I to wiem — odrzekł spokojnie Aleklandrow — ale uważałem, że pożyteczniej jest, żebym ja zginął, niż żeby tysiące ludzi miało być wymordowanych.“ Oddany pod sąd, skazany został w 24 godzin na rozstrzelanie; car wyrok zmienił na dożywotnie roboty w kopalniach, do których został wywieziony.“

„My tutaj w Warszawie nic nie wiedzieliśmy o całym wypadku, który opisałem według odezwy petersburgskiej. Odezwa szczyci się Aleksandrowem jako chlubą Rossji i zachęca do naśladowania go.“

Tyle z korespondencyi warszawskiej do „Czasu.“

Oskarżył mnie pan prokurator o pochwalenie tych dwóch czynów. Nie czuję

winy w sobie, nie pojmuję jej nawet. A jeśli ma być winą, żem się urodził człowiekiem — wyrzut ten nie mnie dotyka, dotyka mego Stwórcy. Nie ja się zrodziłem, zrodzono mnie. Zrodzono mnie z ciałem i z duszą; do posługi ciała dano mi zmysły, do posługi duszy, myśli i uczucie. Dano mi prawa przyrodzone. Rządy, złe czy dobre, biorąc człowieka pod swoje prawa i opiekę, zmuszone są koniecznością przyznać mu niektóre jego prawa, dane mu przez naturę. Inaczej ludzkość stałaby się martwym towarem ze znakiem kupieckim na pace. Tak nie jest, tak być nie może. Człowiek jest człowiekiem. Wolno mi patrzeć, wolno mi słyszeć, wolno mi czuć!

Stworzył Bóg człowieka na podobieństwo swoje; skłonił jego myśli ku piękności a jego duszę ku prawdzie. Prawda jest pięknością moralną. W tych dwóch czynach, za których pochwalenie oskarża mnie p. prokurator, jest wielka piękność moralna. Bodźcem dla Potapowa i Aleksandrowa była litość podniesiona aż do poświęcenia. Odczuje tę piękność każda dusza ludzka bez względu na różnicę religii, narodowości, wykształcenia; każda dusza

bez wyjątku, która nie starła w sobie podobieństwa Bożego. Na wieść o tych dwóch czynach, tysiące serc po różnych kątach ziemi uderzyło silniej; będące w upadku grzechów, podniosły się ku dobremu, będące w upadku zwątpienia, podniosły się ku wierze. I ja odczułem piękność tych dwóch czynów. Czy może istnieć prawo, które chciałoby karać mnie za takie uczucie? A gdy mam wolność tego uczucia, i przypuściwszy, że jestem niemową, czy za łzę uwielbienia spływającą po mojej twarzy pociągnionoby mnie do odpowiedzialności. Obdarzony mową, zamiast wylania milczącej łzy, miałem możność wykrzyknąć: Jakie to piękne! Moja dedykacya jest takim wykrzyknikiem drukowanym.

Pan prokurator opiera swoje oskarżenie na jednym z paragrafów ustawy karnej i twierdzi, że ów paragraw wzbrania mi tego wykrzyku. Chyba stoi w tym paragrafie, że mi nie wolno być człowiekiem! Że zacytowany przez pana prokuratora paragraf mylnie był naciągnionym do mojej sprawy, dowiedzie ze stanowiska prawnego szanowny mój obrońca, któremu dalszą moją obronę powierzam.

II.

Na Zgon Szaramowicza, Cielińskiego, Reinerta i Kotkowskiego, rozstrzelanych w Irkucku d. 15 listodada 1866 r.

Wiersz rozdawany podczas żałobnego nabożeństwa we Lwowie.

(w marcu 1867 r.)

„Lepsza nam kula niźli takie życie!” *)
Rzekli, powstali, rozbroili zbirów,
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwy-
(cie
Błysnęła ku nim ziemia łez i kirów.
Potem pustynia, skąd nie ma wychodu,
Bój, gdzie szczęśliwsi giną, — męki głodu,
I znowu dawne pęta. Sąd otwarty....
Dla katów spisy żeru.... Czy słyszycie?
Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwar-
(ty!

---

*) Słowa Szaramowicza.

Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudze-
(niem,
Których sumienia głos syren utula,
A tym co naród chcą zbawiać spodleniem,
Powiedz: Niż takie życie — lepsza kula!
Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu
Wynosić słupów ze wspólnego domu,
By w ciasnem szczęściu na chwilę utonąć.
Niźli obcego ciała stać się cieniem,
Lepiej jak gwiazda w własnym ogniu
(spłonąć!

III.

Improwizacya podczas uczty danej we Lwowie na cześć

J. I. KRASZEWSKIEGO

(d. 14 maja 1867).

Na cześć naszego gościa podnoszę to słowo,
Ono bez mojej woli w takt pieśni przecho-
(dzi,
Bo widzi ducha Polski nad tą piękną gło-
(wą,
A już takiego męża czcić pieśnią się godzi!
Na służbie narodowej nie zaznał spoczyn-
(ku,
W ciche zakąty serca spychał własne tro-
(ski,
Toż w każdej jego pracy, jak w dobrym
(uczynku,
Bije zdrój żywej wiary, świeci promień
(boski.

Dzisiaj po strasznym boju, jak żołnierz w
(odwrocie,
Kiedy poszedł z innymi na ścieżki tułacze,
I tam ani na chwilę nie zamilkł w tęs-
(knocie —
Z pod jego ręki lecą książki — jak kar-
(tacze!

O jakże nam takiego trzeba przodownika
Którego trud nie złamie, nie ustraszą groź-
(by....
Panowie! wiem, że każdy moją myśl prze-
(nika,
Wiem, że każdy do mojej przyłączy się
(prośby:

Drogi gościu! wróć do nas już jako mie-
(szkaniec,
Otoczy cię nie liczna, lecz wierna gromad-
(ka,
Która kulami zryty dotąd broni szaniec,
Dla której wiecznem hasłem jest: Ojczy-
(zna-Matka!

I tą nadzieją raz jeszcze Jego zdrowie
(pijmy·
Niech nam żyje.... A my przy nim żyjmy!

IV.

Słowo w stuletnią rocznicę zawiązania Konfederacyi barskiej, na zebraniu młodzieży we Lwowie.

(dnia 29 lutego 1868).

Idea choćby najwznioślejsza i najświętsza, jeśli ma porwać i pociągnąć za sobą masy i stanąć przez nie zwycięsko, musi wprzód ucieleśnić się w człowieku. Na takiego człowieka, bohatera - zwycięzcę, przewódzcę i przedstawiciela ducha narodowego, na taki żywy poruszający się ołtarz ojczyzny, czekamy wszyscy w tęsknocie. Człowiek ten podbije od razu wszystkie duchy siłą i miłością. Będzie on miał potęgę lwa, połączoną z bezżółciowem sercem gołębia. Przeciw obłudzie postawi on szczerość, przeciw zawiści uś-

miech, przeciw buntowi spokój i pewność. Prawem mu będzie sumienie, a każdy jego czyn będzie jasny jak miecz wydobyty z pochwy, błyskający ku słońcu. W duszy jego nie postanie nigdy to uczucie złe i nizkie cechujące ludzi małych, to uczucie, które ma swój wyraz w słowach: „Przedewszystkiem — Ja“ Zespoli się on z ojczyzną; on i ojczyzna, to jedno. Władzy on nie zapragnie, nie pomyśli nawet o niej, i przyjdzie ona sama do niego, i weźmie ją jako ciężar, jako krzyż poświęcenia i zaparcia się· A kiedy wypełni swoją misyę, złoży on pokorny władzę napowrót w ręce narodu — a sam usunie się w kąt.

Z boleści matki rodzi się dziecko każde, z męczarń narodu powstaje człowiek taki. Nasze ostatnie męczarnie są tak wielkie, tak przekraczające wszystkie znane nam miary, że pełną piersią wierzyć możemy, iż ten człowiek przeznaczenia, gdzieś na ziemi polskiej — już jest! — jest, rośnie i bezwiedny siebie czeka, aż nań Bóg zawoła.

Może niedorosłym młodzieniaszkiem patrzał on temu lat kilka na pożary wio-

sek naszych; może ukradkiem po nocach sypał mogiły poległym.... Zkądkolwiek on wyjdzie, z pałacu, czy z chaty, czy od warsztatu — niech będzie błogosławionym! Oby nadzieja oglądania go ziściła nam się jak najrychlej!

Cześć i powodzenie temu wielkiemu Nieznajomemu!

V.

Mowa z powodu zakończenia odczytów historycznych H. Schmitta we Lwowie.

(d. 8 kwietnia 1868).

Szczęśliwy jestem, że na moje usta padł zaszczytny wybór, aby one wypowiedziały ci, szanowny prelegencie, w imieniu całego zgromadzenia wdzięczność za dokonane znakomite wykłady, któremi rozświeciłeś jedną epokę z naszych ojczystych dziejów, epokę nam najbliższą i najboleśniejszą, a tem samem najwięcej nam dającą nauki na dziś i w niedaleką przyszłość.

Przy wydarzonej sposobności dotarłeś, szanowny historyku, do wielkiego zbioru rękopisów odnoszących się do tej

ważnej epoki. Wytrwałą i niezmordowaną pracą, bystrością swego umysłu, wydobyłeś z tych ukrytych skarbów nie jeden fakt zatarty w pamięci ludzkiej, nie jeden nowy pogląd na fakta znane. Podałeś nam historyę rozbicia narodu i jego pasowania się. Obszerny bardzo przedmiot wyczerpałeś bardziej niżeli ktokolwiek przed tobą. Wykłady twoje dały nam miarę twojej pracy i talentu; sposób, w jaki je nam wypowiedziałeś, czyni zaszczyt twemu sercu i twojemu charakterowi. W twoich słowach czuliśmy gorącą miłość ojczyzny, czuliśmy hart duszy i siłę jej przekonań — hart mężów zawsze wolnych, zawsze niepodległych, chociażby stali pod najgorszym uciskiem, pod najcięższą niewolą, lub co gorsza i niebezpieczniejsza, chociażby stali — pod pokusą.

Roztoczyłeś przed nami obraz straszny, ciemny, przerażający; z pod jego czarnego tła wydobywają się gdzie niegdzie ogniste strzały zakrytego słońca. Tem słońcem jest niespożyty duch narodu.... a więc to tylko chmura przemijająca — a tą chmurą były i są grzechy nasze. Niech nikt nie mówi, że na naszym narodzie po-

pełniono morderswo — popełniono tylko gwałt! Zabić narodu nie potrafi nikt, ani Bóg. Tak, ani Bóg! bowiem powiedzianem jest, że i On Wszechpotężny bez naszego własnego przyczynienia się nikogo z nas ani potępić, ani zbawić nie może. Ale on rozrządza ogromną i niezgłębioną potęgą, rozrządza wedle swej woli promieniem swego oka, pełnego łaski i miłosierdzia; gdy odwróci twarz, to grzesznicy stojący na pochyłości grzechu, szybciej spadamy w przepaść; gdy popatrzy na nas — podnosimy się łatwiej. I jeszcze raz powtarzam, przez morderstwo żaden naród zginąć nie może, ale zginąć może — przez samobójstwo!

Okropnym, zaprawdę, był obraz naszego społeczeństwa z drugiej połowy ubiegłego stulecia. To społeczeństwo podobnem było do wielkiego gmachu. Stał on zbudowany na twardej, błogosławienej ziemi wielkich tradycji narodowych. Fundamentem szerokim z nieciosanych brył granitu był lud i połączone z tym ludem, bo wyszłe z niego mieszczaństwo; nie wyniesione nad poziom, ginęło ono w mroku ziemi. Na tych fundamentach wspierał się kilku piętrowy budynek hierarchji szla-

checkiej. Dolna jego część składała się z surowego, ale przeważnie zdrowego materyału, a czem dalej w górę, tem gorzej: tam już ściany lepione z morszałej gliny, gdzie niegdzie przetykane zdrowemi kamykami, cóż z tego, kiedy bez łączności ze sobą. A na takim budynku dach możnowładztwa spleśniały, zarażony roztaczającym go grzybem zepsucia — dach podziurawiony, przepuszczający przez siebie każdy wicher każdą plutę zewnętrzną — sam gnijący i rozszerzający zgniliznę na cały budynek. A na tym dachu, król — jedwabna chorągiewka. I czyż tego rodzaju gmach mógł sę ostać?... Runął!... Już prawie od wieku czyścimy i równamy plac, poramy się w tych gruzach; znaleźliśmy w nich wiele jeszcze dobrego materyału — a co najważniejsza, fundamenta zostały!..

Przyznanie się do błędów to pierwszy szczebel do każdej poprawy. Już raz trzeba nam przyjąć tę prawdę, chociaż ona gorzka: U p a d l i ś m y p r z e z n a s z e w ł a s n e w i n y. Gdyby Polska zdobyła się była na jedną chwilę zapału i ofiary, na jedną taką chwilę, na jaką równocześnie zdobyła się Francya w wiekopomnej nocy 4 sierpnia, w której uprzywilejowa-

ni rzucili w ogień płonący na ołtarzu miłości ojczyzny wszystkie wyłączne swoje prawa, wszystkie tytuły i przywileje, i podnieśli cały naród do równej godności obywatelskiej, lud rozkuli z pęt, dali mu ziemię i swobodę i powiedzieli mu: „Macie czegoście pragnęli, a jeżeli wróg nadejdzie, brońcie tych nabytków!“ Gdyby tak było się stało! Polska mogłaby była odeprzeć wszystkie na nią idące burze i trwałaby po dziś dzień.

Naród tem być powinien, czem był w dawnem pojęciu król: wyrazem najwyższej władzy — lecz dziś w tem on tylko podobny do mocarza, że lubi pochlebstwa a nie znosi prawdy. Król dowiadywał się o prawdzie z ust nadwornych trefnisiów; dziś kryje się ona często w pismach satyrycznych. Kto pochlebia narodowi jako władzy, ten jest niegodnym jurgieltnikiem, zapłatą mu popularność. Żaden potężny król nie miał tylu schlebiaczy, ilu ich miał nasz rozbity naród. Głaskano ciągle jego uszy harfianem słowem: Niewinna ofiaro! jakże ci pięknie w aureoli męczeństwa twego! A należało do narodu ciągle przemawiać: Marnotrawco! roztrwoniłeś wielkie skarby — jakże ci brzydko w łachma-

nach żebraka! I źle robią ci, którzy mówią: Czekajcie cierpliwie i bądźcie dobrej myśli — Polska będzie! A należy mówić: Nie będzie! jeżeli na nią sami zapracować nie zechcemy. Jeszcze raz: Upadliśmy pzez naszą własną winę i podnieść się możemy tylko przez naszą własną zasługę. I tu odnieść się muszę z uznaniem do ciebie szanowny historyku: Pochlebcu nie byłeś nigdy, przeciwnie, liczysz się do ludzi zasłużonych a mało sympatycznych, którzy narodowi nieraz gorzkie prawdy mówili.

Wykłady Twoje zostawiają po sobie skutki ważne; zbogaciły one naszą wiedzę, zahartowały ducha, przypomniały wiele rzeczy, z których niejedną zbawienną możemy wynieść zasadę i naukę; a to przekonanie będzie dla twoich trudów najpiękniejszą nagrodą.

Wiemy teraz, naprzykład, jak jest niebezpiecznie wiązać się z mocarstwem, o którego obłudzie mieliśmy sposobność przekonać się nieraz — (plany... Czartoryskich); jak jest nikczemnie oddawać się w opiekę temu państwu, które ledwie nie wczoraj najętymi i płatnymi zbójcami mo-

rdowało naszych ojców, rozparało żywoty naszych matek — (rzeź... humańska); jak jest niekorzystnie, dla tak zwanego, „dobrze zrozumianego interesu kraju,“ robić ustępstwa z tego, co powinnó być najdroższem, czy to dla pojedyńczego człowieka, czy dla narodu — z własnej godności; jak chcąc takim kosztem ocalić coś, traci się potem wszystko, i idzie się gorzej niż w zatratę imienia, idzie się w śmierć moralną — (sejm... grodzieński). A ztąd zasada i nauka: Lepsza podniesiona i grożąca pięść wroga, niźli jego uśmiech.

Wiemy teraz także, z jak okropnem świętokradztwem frymarczono u nas nazwą patryotów, jak pod to święte imię podszywali się nietylko ludzie ambitni i przedewszystkiem patrzący własnej korzyści, ale nawet jawni zdrajcy, którzy zostawali na żołdzie wrogów ojczyzny. A ztąd zasada i nauka: Zawsze nadzorować ludzi, którzy pracując w sprawie narodu, mają przytem także osobiste zyski, czy to w znacznych pensyach, czy w zaszczytach, czy w zadowoleniu dumy, gdy stają u steru.

Nakoniec nie mogę pominąć uwagi, która mi się gwałtem nasuwa. Zakończy-

łeś, szanowny historyku, swoje wykłady w jednym z pierwszych dni wielkiego tygodnia. Szereg twoich wykładów był jak by odbiciem tych dni, które teraz nastąpią: to dnie Judaszowych zdrad, Piotrowych zaprzań i Piłatowych sądów, to dnie męki i krzyżowań. A potem? Wszak wiecie, jaki dzień się zbliża — dzień zmartwychwstania. Mówiłem o zmartwychwstaniu ducha narodowego, który od pewnego czasu zamiera między nami. Po takiem zmartwychwstaniu następuje inne.

VI.

Mowa na pogrzebie ś. p. Autora Grottgera we Lwowie.

(d. 4 lipca 1868.)

Stoimy w około drogiej trumny, wróconej nam z obcej ziemi — nie obcej, bo gościnnej, od dawna nam przyjaznej, a co więcej, pokrewnej duchem: ona przybyła od naszej siostry Francyi. Tę trumnę która pożegnana przez nas, za chwilę zejdzie w cień grobowy, tę trumnę przychodzi nam oraz witać. Jakie to bolesne powitanie! W niej spoczywają zwłoki Artura Grottgera. Umarł młodo, zaledwie licząc lat trzydzieści, a zostawił narodowi dzieła, które przetwają wieki; żył ubogi, walczył nieraz z niedostatkiem — a zostawił narodowi skarby, dla których nie ma ceny.

Mówię w obec nader licznej i szerokiej publiczności, składającej się ze wszystkich warstw społecznych; niechże mi wolno będzie, dla tych, którzy kochają Ojczyznę dla jej imienia świętego, a mało wiedzą o jej dziejach i o jej synach zasłużonych, przebiedz w krótkości życie i działanie tego nieodżałowanego młodzieńca dla oddania któremu przynależnej i ostatniej czci zebraliśmy się w tem miejscu.

Artur Grottger urodził sie między nami, urodził się na wsi, z rodzicow zacnych, przejętych patryotycznem uczuciem a którzy trzymali dzierżawą wieś Otyniowice o mil ośm od Lwowa odległą. Dzieckiem zaledwie wyrośniętem z pieluch ukochał on tę polską ziemię. Jej krztałty, jej dźwięki uderzały w jego wrażliwą i miłującą duszyczkę. I równocześnie dwa poczucia, dwa popędy, dwa wybitne talenta: do muzyki i do rysunku odezwały się w ubłogosławionem iskrą bożą dziecku. I jak to się dziwnie złożyło: matka jego była znakomicie wykształconą w muzyce, a ojciec w sztuce malarskiej. Rodzice stali się nauczycielami ukochanego syna — i wnet spostrzeżono, że talent do rysunku widocznie w nim przeważał. Więc matka,

niewiasta-polka, a już i z tego drugiego tytułu skora do każdego zaparcia się, nie chcąc łamać zdolności syna na dwa prądy, usunęła się ze swą nauką, zostawiając ojcu wyłączne kształcenie go w rysunku. Chłopiec nieco więcej liczący nad lat dziesięć stał się w krótce podziwem całej okolicy ze swego olbrzymiego talentu. I przy sposobności odwiedzin cesarza austryackiego tej części Polski, którą nazwano Galicyą, wyrysował jego wjazd do Lwowa. Rysunek został przedstawioay cesarzowi. Cesarz obdarzył młodziutkiego artystę dość znacznem stypendjum dla dalszego kształcenia się; jakoż udał się Grottger do szkoły malarskiej najprzód w Krakowie a później we Wiedniu. W tej ostatniej celował tak, że go umieszczono w oddziale nazwanym „szkołą mistrzów".

Nadszedł rok sześćdziesiąty pierwszy, rok wielki i błogosławionej pamięci. W nim nasz naród choć ogołocony z sił materyalnych, lecz potężny duchem, stawił opór barbarzyństwu najobszerniejszego mocarswa w świecie. Grottger był artystą, t. j. miał duchową siłę; Grottger był dobrym synem ojczyzny, t. j. obracał tę siłę

na jej pożytek. I wyrysował natenczas pierwszą seryę obrazów pod tytułem: „Warszawa.“

Przed siedmiu laty wielu z was, kochani rodacy, współuczestniczyło w uroczystości postawienia tego bliskiego, dębowego krzyża na pamiątkę ofiar warszawskich.... Wszak prawda, o krzyżu! godle i pamiątko dwóch męczeństw, ty niewidomie przedłużasz w tej chwili twe ramiona, aby osłonić grób tego, który uświetnił i przekazał światu fakt wiekopomny w dziejach ludzkości, a za łaską bożą przez nasz naród podniesiony!

„Warszawa“ Grottgera za pomocą fotografji, jakby w iskrach elektrycznych rozsypała się po Europie w tysiącznych egzemplarzach. Działała ona potężnie na masy ludów; stała się w obec nich orędowniczką sprawy Polski — i propagatorką tej wielkiej jej idei, że duch góruje nad siłą brutalną, panuje nad nią, a w końcu tego buntownika przeciw duchowi — zgniata i zwycięża. Tego rodzaju propaganda nie mogła podobać się rządom absolutnym. We Wiedniu, ubóstwiającym cielesność, działy się rzeczy niezwyczajne: Przed wy-

stawami sklepów, w których na widok publiczny rozwieszano obrazy Grottgera, stawały tłumy przechodniów; oni wracali z jednej uciechy i spieszyli zapewne do innej — mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali długo jakby przykuci — bo te obrazy odkrywały newe, nieznane im światy; i stali zaniepokojeni, smutni, a odchodzili ze spuszczonemi głowami już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę do domu. Na tak niebezpieczne objawy ówczesny rząd austryacki nie mógł patrzyć obojętnie; nie miał on już ani siły, ani odwag przeszkadzać dalszemu rozpowszechnianiu obrazów — ale przysłał ich twórcy wyraz swego nieukontentowania z dodatkiem groźby, że jeśli artysta z podobnemi utworami jeszcze raz wystąpi, cesarskie stypendyum zostanie mu odebranem.

Tymczasem wybuchło nasze powstanie; krwawiło się ono w obec pogańskich samolubnych rządów, w obec przerażonych a bezwładnych ludów. I w krótce to drogie dziecko polskie, ten ukochany syn ojczyzny, miał sposobność odpowiedzieć na objawioną mu groźbę — i któż nie wie, jak odpowiedział? odpowiedział nową se-

ryą patryotycznch obrazów, odpowiedział: „Polonią“! Poczem utracił stypendyum.

Ten uszczerbek zachwiał na zawsze jego materyalnemi stosunkami i stał się źródłem nie małych w jego dalszem życiu zgryzot, bo Grottger był opiekunem i podporą swej rodziny a przytem serdecznie zawsze wylanym dla swych przyjaciół.

Przytoczony ostatni rys kreśli nam całego człowieka — on powie już resztę o nim — on mówi wszystko. On świadczy, że Grottger stał pod łaską wysokiego natchnienia, czuł w sobie jego uświęcenie, poddawał mu się, jak dobre, posłuszne dziecko, ślepo i w pokorze, a przytem wiedział, że ludzie natchnienia są tylko misternemi narzędziami w ręku Boga, i że im nie wolno tak świętego daru używać dla swoich osobistych widoków i korzyści, bo inaczej duch wieszczy odstąpi ich i odleci — na długo, nie raz na zawsze. Toż śmiało twierdzę, że Grottger był ostatnich czasów jednym wieszczem norodu. Najgodniej i najgienialniej przedstawił on w swoich utworach ducha Polski. Dzisiejsza Polska: to ból i wiara; ból niezgłębiony i olbrzymia wiara. I te dwa charaktery występują we wszystkich dziełach Grottgera.

A gdzie wiara tam zwycięstwo! Tak — choćby mnie miano obyczajem wieku nie kamieniem, ale śmiechem ukamienować — powiem: W ostatniem naszem powstaniu nie nasz wróg zwyciężył — myśmy zwyciężyli!! Jeżeli to słowo nie znajduje przystępu do dusz waszych, zapytam obecnych kapłanów: Podczas najsroższego prześladowania kościoła, kto był zwycięzcą — czy Neron czy Chrześcijanie?.. (Głos kapłanów: „Chrześcijanie!“.) Dziękuję wam. Otóż tę myśl wypowiedział także Grottger w swoich rysunkach.

Patrzcie na tego kapłana, kiedy zamyka znieważony kościół, jaki on spokojny — bo zwyciężył! Patrzcie na tego katorżnika z podniesionym nad bryłą młotem: to zwycięzca! Patrzcie na tego trupa nad którym klęczy skamieniała matka: twarz jego przepełniona szczęściem! Patrzcie na tego litewskiego leśnika, kiedy się rzuca w tłumy wrogów: to tryumfator! albo na jego żonę zagrzebaną w kopalni, klęczącą przed jawiącą się Matką Boską: to święta! albo na tego chłopa prowadzonego przez szlachtę, niosącego chorągiew: on wie, że idzie w przyszłość, że w jego rodzie znajdzie się kiedyś senator! albo

na tego rabina, postępującego za pogrzebem arcybiskupa warszawskiego: on zaczyna pojmować Chrystusa!....

Tak było! tak działo się rzeczywiście! a ten, który to wszystko ogarnął, pojął i objawił nietylko Polsce, ale całemu światu — w tej trumnie spoczywa.

I jakże mu się naród odpłacił? Najznakomitrze jego dzieła nie mogły w kraju znaleźć kupca, i przejść musiały w obce narodowi ręce. Tylko jeden z naszych bogaczów uczcił geniusz Grottgera, był mu nieraz pomocą i podporą — ale to człowiek wyjątkowy, gdzie tylko potrzeba lub myśl narodowa, jego hojna ręka wszędzie. A nawet i teraz — zebrani w kilkuset delegaci Towarzystwa kredytowego, reprezentanci całego kraju, nie chcieli na inny dzień odłożyć swoich czynności, ażeby uczcić żałobny pochód tak wielkiej w narodzie znakomitości, i w tej chwili odbywają swoje posiedzenie, radząc tam zapewne nad nierównie ważniejszemi sprawami. O goryczy, bądź odemnie daleką! Pójdę za myślą grobów. Groby przebaczają, bo same nieraz pragną przebaczenia.

Ten — niewinny! a wiem o tem, że przebacza winnym.

Po utworzeniu „Polonji, Lituaniki i Wieczorów zimowych,“ udał się Grottger, już chory, do Paryża. Tam na ostatniej wystawie przeszłorocznej okazał ostatnie swoje dzieło: „Wojnę“ W tej „Wojnie“ przedstawił całą jej straszną grozę. A i z tych obrazów wieje także myśl polska: nadzieja jego prorocza, chociaż w daleką sięgająca przyszłość, nadzieja pełniącej się miłości ewangielicznej we wszystkich stosunkach i zajściach międzynarodowych. Bo każda wojna jest bratobójczą, a Polska tradycyjnie miała wstręd do niej; wojen zaborczych nie znała, a podniesienie oręża swego nazywała „potrzebą,“ to jest koniecznością.

Imię Grottgera rosło, nabierało coraz większego znaczenia i powagi. Otwierała mu się przysłość piękna, szczęśliwa — bo zdobył sobie sławę w całym świecie artystycznym, a w ojczyźnie zdobył serce dziewicy, godnej jego ducha i miłości, i miał z nią w krótce zawrzeć śluby małżeńskie. I w takiej chwili — zapadając coraz bardziej na piersiową chorobę, wy-

słany przez lekarzy do południowej Francyi, w kilka dni po przybyciu do Amelie les Bains — umarł.

Śmierć jego przedwczesna jest tajemnicą Opatrzności. Nie godzi się nam stawiać zapytania: dla czego? My tylko tyle wiemy, że w strasznej dla narodu chwili ś. p. Artur Grottger był jego wieszczem-pocieszycielem, dokonał dzieła — i został odwołanym.

Z głębokim bulem żegnamy się z tobą, drogi nasz Arturze, a jednak z każdego bólu i smutku należy nam chrześcijanom a mianowicie Polakom, wychodzić ze siłą i wiarą. Pocieszać ciebie matko, lub ciebie jego narzeczono, byłoby w ustach człowieka bluźnierstwem — to rzecz Boga. Mnie tylko wolno na widok tej trumny wydobyć z niej nie słowa pociechy, lecz wiary.

Wierzymy, że trumny są kołyskami nowych żywotów — o wy biedne, z rozdartem sercem, patrzcie! — może w tej trumnie anioł się kołysze! Wierzymy że w ziemi leżą gdzie niegdzie zwłoki tak szczęśliwe, iż mieć będą dwa wstrząśnienia — o jedno więcej, niźli wszystkie in-

ne. Drugie będzie ogólne, przy zmartwychwstaniu ciał na głos trąby sądu ostatecznego; pierwszego wstrząśnienia doznają tylko zwłoki wybranych i zasłużonych: przy zmartwychwstaniu Polski! Twoje popioły, Arturze, proszą się także.

Wierzymy, że twoja trumna jest poprzedniczką innych, że trumny rozrzucone po obcych ziemiach, kryjące zwłoki naszych braci zmarłych w tęsknocie na tułactwie, gotują się do podróży — i słychać po nich szmer radosnej nadziei: Może wkrótce zawezwą i nas i odbiorą do wolnej Polski!

O Boże! kiedy to?

A teraz wielebny kapłanie, przewodniczący temu smutnemu obrzędowi, rozpocznij nad tą trumną przekazane nam przez kościół, święte modlitwy — a potem uświęconą swą ręką rzuć na nią garść tej ojczystej ziemi, którą ś. p. Artur całą duszą kochał, a która na jego przybycie czekała. Niech ona posypie się z twej dłoni jakby łzy matki spadające, i niech mu będzie błogosławieństwem; niech świadczy za nim przed Panem, niech mu wyjedna przebaczenie za małe a ludzkie ułomności jego, i niech uprosi, aby został wliczony w legion aniołów-stróżów naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

VII.

Mowa przy odsłonięciu pomnika w Rapperswyl (w Szwajcaryi) wypowiedziana w języku francuskim.

(d. 16 sierpnia, 1868).

Powiem krótko — lubię skąpstwo słów. Cierpiący zwykle mówią tak — a ja jestem Polakiem. W przeszłości szable nasze nie były długie, a sięgały daleko; piersi teraźniejszych naszych męczenników nie szersze od innych, a mieściły w sobie nieraz — Boga!

W rocznicę stuletniej naszej walki z przemocą, my sieroty w ludzkości, przyszliśmy do ziemi wolnej i szczęśliwej założyć protest przeciw naszym ciemiężcom, a w tej chwili dusza całej Polski jest z nami. Kładziemy ten protest w imieniu

żywych i umarłych, w imieniu kołysek naszych dzieci i grobów naszych ojców; w imieniu tych, którzy cierpią, w imieniu tych, którzy wierzą, w imieniu tych, którzy wątpią.

Z naszych łez i z naszej za wolność wylanej krwi powstaćby mogło tak wielkie jezioro, jako to przed nami; z naszych mogił na polach, w ciągu stu lat bitew, urosłaby góra, góra tak wysoka, jako jedna z tych Alp; nasza męka wystarczy na odkupienie grzechów całego świata. Jesteśmy narodem, w który wciela się Chrystus!

Jako taki, nasz naród nie staje przed wami z językiem żebraka, chociaż jego łachmany wiszą na nim — ale staje on z powagą i pewnością wielkiego bogacza ducha.

Ostatnie nasze powstanie, a mianowicie odbywające się przed siedmiu laty manifestacye Warszawy tego miasta, które słusznie nazwano sercem Polski — objawiły światu doniosłość siły, o której stracono pojęcie — doniosłość siły moralnej.

Z tym skarbem przychodzimy do was, do was wszystkich, którzy walczycie za

jakąkolwiek świętą ideę, i pragniecie zdobyć dla niej zwycięztwo. Niech dogorywające na swych tronach na pół zgniłe bałwany siły brutalnej, uzbrajają ciemne masy w szaspoty i iglicówki — wy pragnący wolności i rządów bożych uzbrójcie się w broń, którą wam Polska męczennica podaje. Jeżeli osiągniecie pracą wewnętrzną tę siłę moralną, o której mówiłem, natenczas proste kije staną się w rękach waszych mieczami, (wy Szwajcarowie wiecie o tem), a temi kijami, jak powiedział jeden z naszych bohaterów, zdobywają się karabiny, karabinami działa, a działami fortece.

Stawiamy na waszej ziemi, szlachetni i niepodlegli Szwajcarowie, pomnik nasz narodowy. To nie pomnik naszej niewoli to pomnik naszej siły i wytrwałości, a oby stał on się kamieniem grobowym zamykającym stuletnie nasze męczeństwo.

A taraz, wam wszystkim, tu zgromadzonym, reprezentantom narodów kochających moją ojczyznę — w jej imieniu dziękuję za objawione współczucie dla niej.

A tobie ziemio gościnna, ziemio wolna i święta, tobie o Szwajcarjo, twoja sio-

stra Polska przez moją rękę na znak miłości i wdzięczności przesyła swoje błogosławieństwo. Kto jest poetą nieszczęśliwego ludu, jest prawie kapłanem. I w tej chwili zdaje mi się, że mam posłannictwo i prawo błogosławić ciebie!

VIII.

Mowa podczas uczty dla Karola Libelta we Lwowie.

(d. 12 Kwietnia 1869.)

W starej republice Rzymu był zwyczaj głębokiego znaczenia. Oto, kiedy jeden z jej bohaterów, chwilowy pan tej pani świata, odprawiał swój tryumf, i ciągnął na złotym wozie, z wieńcem laurowym na skroni, śród grzmotu puzonów, przy okrzykach uwielbiającego go ludu — to ciągnął na kapitol przez *Via sacra*, aby pamiętał, że sam jest jako żywy proch między świątyniami Bogów; i równocześnie ktoś na ten cel przeznaczony, idący przy nim, szeptał mu do ucha: Pomnij, żeś ułomnym, pomnij, żeś śmiertelnikiem! — a ten głos, panowie, nie był dysonansem w odgrywającej się harmonji dla tryumfatora — on był jej uzupełnieniem.

Tym tryumfatorem obecnie — my jesteśmy. W uczczeniu jednego z najzasłużeńszych naszych rodaków, tryumfuje w nas duch narodowy i święci swoje zwycięztwo. Dzielimy się chwałą Libelta — liście z jego wieńca i nasze osłaniają czoła. Szczęśliwi, rozpromienieni na złotej fantazyi toczymy się wozie. Potężnie biją nam serca; każdy z nas czuje się młodzieńcem i gotów „dusić centnaury.“ Obawa jest, abyśmy nie poddali się tej chełpliwości, która jest grzeszną, a przez obcych nazwaną została chełpliwością polską. A więc, w takiej chwili, niech was nie razi, panowie, że odezwie się głos, głos na pozór niewdzięczny a konieczny, i nie psujący, lecz uzupełniający harmonię naszych uczuć, głos który wam powie: Pomnijmy, żeśmy w niewoli! pomnijmy, żeśmy narodem bez ojczyzny!

Nie mamy jej! A co pomimo tylu ofiar dotąd jej nam nie wróciło? Bezmyślna senność milionów, nieobódzonych do narodowego życia, i wrodzone nam lenistwo lub samowolne zadowolenie większej części czuwających. Ostatni są winni za senność pierwszych. Jakkolwiek byliśmy pętami — ruchu budzącego innych,

nikt nam wzbronić nie mógł. Lecz, jak powiedziałem, byliśmy leniwi lub zadowoleni. Leniwi — pomimo, że nas smagano biczem! zadowoleni — pomimo, że krępowano naszą wolę!

Są dwa wyrazy bliźniacze, rymujące ze sobą, i jakby przeznaczone, aby zawsze szły w parze. W nich zawartą jest złota, zbawienna reguła; w tej regule jedyny nasz ratunek. Lat temu dwadzieścia kilka, z ust dwóch ludzi stojących na dwóch ostatecznych krańcach rymotwórstwa polskiego, bo jednym był wielki mistrz Słowacki, drugim, znany swojego czasu i sowicie obśmiewany, z kąd inąd zresztą zacny wierszokleta — z ust obudwóch, z głębi ich patryotycznego ducha, prawie równocześnie wyrwały się one dwa wyrazy — a te wyrazy są: Do pracy Polacy!

Do pracy, do narodowej pracy, wzywa nas opuszczona ojczyzna. Ktokolwiek nie jest pogardy godnym pasożytem, wyzyskującym na własną jedynie korzyść, trudy i zasługi pokoleń dawnych, męki i ofiarną krew teraźniejszych — niech wstaje i niech mięsza się w szeregi polskich pracowników. Gdzie spojrzeć, leżą odłogi. Każdy w swoim zakresie, według swoich

sił i zdolności znajdzie na nich do pracy miejsce — byle chęć była. A do tej pracy przedewszystkiem potrzeba nam jedności i zgody. I niech nie dziwią się nasi nieprzyjaciele, że otę cnotę tak nam trudno; niewolnikom wolno być w złym humorze. I stąd większa część naszych zawiści, uprzedzeń i niechęci osobistych i społecznych. Potrzeba nam zgody, bo nam potrzebna siła. Słabość jest w złości i egoizmie, a silnym tylko miłujący. Więc nie rzucajmy łatwo kamieniem potępienia. Kamienujmy czyny, nie ludzi, bo któż z nas może powiedzieć, że nigdy i w niczem nie zawinił przeciw ojczyźnie?

Nie mówmy nikomu: „Oto my pracujemy od samego rana, a ty przychodzisz dopiero wieczorem.“ Ci opuźnieni niech nam będą najmilsi i najdrożsi — Polska jak ów gospodarz ewangieliczny, zapłaci im za dzień cały.

Nie mówmy nikomu: „Twoja praca niezdarną jest i bezpożyteczną — szkoda tej roboty.“ On może myśli i chce dobrze.

Nie mówmy nikomu: „Utyłeś na chlebie cudzej pracy, próżniaku, a teraz wysilasz się nadaremnie i więcej odpoczywasz, niźli pracujesz.“ Uderzmy przed

nim czołem, bo kropla jego znoju przeważy przed ojczyzną niejednego zasługi.

I nie mówmy nikomu: „Krzątałeś się całe życie około własnego dobra, zebrałeś wielkie skarby, czego szukasz między nami, czy nowego zarobku? O! nie odtrącajmy go — on może właśnie przychodzi, aby złożyć narodowi część tych skarbów.

Odtrącajmy tylko jednych, a to tych, którzy na to przychodzą i stają przy świętym ogniu wspólnej pracy narodowej, aby, (przebaczcie mi, panowie, trywialne wyrażenie), aby przy nim upiec własną pieczeń.

Jeszcze jedno słowo i skończę.

Czem większa wyniosłość pychy, tem głębszy następuje upadek. I odwrotnie: Im niżej kto upadnie, tem na wyższy powinien poglądać ideał, aby zabolał mocniej, przerażony przestrzenią, jaka go dzieli od tego ideau. Któż bardziej grzeszył pychą, jeśli nie nasz naród? Któż później przez surowsze przechodził tortury upadku i upokorzenia, jeśli nie my pokutujący?

Toż ideał dla przyszłej Polski musi stanąć wysoko — bardzo wysoko!

Do pracy więc! bo praca długa a droga daleka. A jeśli zapytacie, jaka Polsce droga? W płomień serc, w światło wiedzy, w lot natchnienia — w Boga!!

IX.

Głos powodu Zgromadzenia ludowego odbytego we Lwowie.

(d. 13 czerwca 1869).

W „Dzienniku lwowskim“ wydanym przed trzema dniami, w korespondencyi z Pragi czeskiej, czytamy: „Zgromadzenie na Zwiczynie w Czechach liczyło od 15 do 20 tysięcy uczęstników, należy więc do mniej licznych, mieliśmy już bowiem zgromadzenia ludowe, w których brało udział od 45 do 50 tysięcy uczęstników.“

Obywatele! Ach, tyleż was tylko godnych nosić to zaszczytne nazwisko? Miasto o stutysięcznej ludności nie naliczyż was więcej? To nic! garstką jesteście zdrowego, rozrastającego się ziarna; nad wami duch Polski i błogosławieństwo boże. Będzie plon!

Zgromadzenie ludu — słowo wielkie, potężne! Wolność dla każdego radzenia gromadnie, publicznie, nad dobrem publicznem — radzenia, jak bywało w dawnych republikach, pod gołem niebem, pod okiem Boga — to szczyt, to korona wszystkich wolności! Tej wolności nie posiada dziś Francya, która swoją pracą i myślą, krwią i znojem, pchnęła ludzkość na drodze wolności na kilka wieków naprzód, i która ma prawo zwać się jej przewodniczką; a tą wolnością my się cieszymy — źle — nie tak — bo nie cieszymy się — tę wolność nam narzucono — a my nie chcemy korzystać z niej!

Radziliście, obywatele, nad sposobami uzyskania większych dla siebie swobód. To dobrze. Od złego dłużnika brać wszystko, brać co można, co się da. Ale, tu także pora zapytać, cośmy dotychczas zrobili z uzyskanemi już swobodami. Czyśmy je roznieśli po wszystkich zakątkach kraju? Czyśmy je rozsieli na wszystkich długoletnich jego ugorach? Czy je pielęgnujemy? Czy rosną one pod naszą staranną opieką? Czy żywimy się niemi? Nie, sto razy nie! Głód moralny pożera, nisz-

czy wnętrzności kraju, a swobody leżą martwe, nieużyte po naszych autonomicznych spichlerzach!

Powiedzą, że popełniam grzech polityczny odsłaniając jawnie, a więc i przed okiem wrogów, wady naszego społeczeństwa. Naród, który nie śmie powiedzieć o sobie nagiej prawdy, i swoje błędy nosi w ukryciu nito wstydliwe choroby, idzie w śmierć! Właśnie dla tego, że wierzę w przyszłość, że wierzę w siłę mego narodu, mówię o nim prawdę.

Źle się dzieje. Śpimy! śpimy! Niekiedy przewrócimy się z boku na bok i to nazywamy naszem życiem politycznem. Śpimy! podczas kiedy przez społeczne ciała innych narodów przechodzą dreszcze przeczucia wielkich, zbliżających się wypadków, a na stopy czujniejszych idą już prądy ciepła z wydobywających się z pod ziemi wulkanów.

Obywatele! wrócicie wkrótce do domów między waszych przyjaciół i znajomych. Proszę was, abyście rozgłosili między nimi te dwie prawdy:

Pierwsza: że kto nie użytkuje z przysługujących mu obywatelskich praw, skła-

da tem dowód, że chce się także wyłamać z obywatelskich obowiązków.

Druga: że w niewoli można być wolnymi w duchu, a przy wolności można być niewolnikami.

A teraz, do widzenia, na zgromadzeniu przyszłem, kiedy nas będzie kilkadziesiąt tysięcy.

X.

Odpowiedź na zaproszenie pragskiego komitetu uroczystości w pięciusetletnią rocznicę urodzin Jana Husa.

(w marcu 1869).

Jeszcze do dzisiaj cieszyłem się nadzieją współuczęstniczenia w uroczystości na cześć mistrza Husa, na którą to uroczystość raczyliście mnie zawezwać. Niespodziewanie zaszły przeszkody, odebrały mi tę nadzieję — ale należąc do narodu pokrewnego waszemu rodem, siłą ducha i cierpieniem, kiedy nie mogę osobą, duchem i sercem stanę między wami.

Są następstwa podlegające prawom tak wiecznym jak Bóg. Do nich liczymy te: Po męczeństwie — tryumf; po ofierze — zwycięztwo. A więc po męczenniku —

bohater; a więc po Husie — Ziska! A więc na miejscu domu, w którym się Hus rodził, stanie kiedyś kościół — a na żałobnej górze krwi i łez, na górze słoneczną ofiarą wybielonej, na waszej Białogórze — stanie kiedyś wasz panteon.

Z Polski, która jest siostrą waszą, z Polski zdeptanej a wyniosłej, krzywdzonej a miłości pełnej, wznoszę do was, bracia Czechowie, toast ze znanym waszym przodkom okrzykiem:

Kielich dla wszystkich!

Tak, kielich szczęścia, kielich wolności dla nas i dla naszych wrogów, dla nas Polaków i Czechów, dla nich Moskali i Germanów. A jeśli ten toast ze wzgardą odrzucą — to z nimi bój, bój na śmierć — o życie!

XI.

Mowa na uczcie danej dla poety przez wychodźców polskich w Brukseli.

(d. 16 października 1869).

Wzruszony, od czego zacznę? Od słów, które przy każdej sposobności wyrywają nam się z piersi, na ustach drgają; od hasła, którem witamy nowonarodzonych jakby chrztem, niem później bierzmujemy się, niem żegnamy konających jakby ostatniem pomazaniem; od okrzyku, przy którym szlachetni ludzie całego świata gną swe czoła, sercem rosną, kiedy nasze wrogi drżą: Niech żyje Polska!

Niech żyje Polska! krzyczeli nasi męczennicy, stojąc pod szubienicą lub patrząc w lufy wymierzonych ku nim karabinów. Ten okrzyk był ich ostatnią modlitwą.

Niech żyje Polska! krzyczeli nasi żołnierze idąc do szturmu nieraz bosi, zziębli, zgłodniali. Ten okrzyk był im siłą i ulgą.

I ja, moi szanowni, potrzebuję w tej chwili ulgi. Uraczyliście mnie czcią nad zasługi moje. To ciężar. Czuję się przygniecionym — słodko; upokorzonym — rozkosznie. I lżej mi będzie, kiedy otrzymaną cześć odniosę do świętego imienia Ojczyzny, odniosę tam, gdzie jak krople w oceanie zlewają się wszystkie nasze cierpienia i radości, ofiary, zasługi i nadzieje. Toż pozwólcie, że dla sprawienia sobie ulgi raz jeszcze powtórzę, tym razem dla siebie samego: Niech żyje Polska!

Uczczenie, jakie mnie obecnie spotyka, należy mi tłumaczyć tak: Ludzie poświęcenia oderwaliście się od łona matki ojczyzny i odeszliście wzbogaceni jej błogosławieństwem na drogę. Skutkiem tego błogosławieństwa jest, że na tułactwie nieraz w biedzie, zawsze w tęsknocie, przechowujecie w sobie nieskazitelnego ducha Polski i nie rozpraszacie go łatwo — a tak samo czujni jesteście na jego

rozkazy. Otóż ten duch kazał wa złożyć hołd, nie mnie poecie, ale potęd polskiej poezji i jej wielkiej doniosłośc Bo jakież moje zasługi? Czy to zasług dla syna, że kocha matkę? dla ptaka że śpiewa?

Są dwie potęgi, dwa prawa, dwa bodźce, bez których Polska nie byłaby Polską, bez których zaparłaby się swojej misyi dziejowej. One są: natchnienie i poświęcenie!

Z małym wyjątkiem cały dzisiejszy świat stawia natomiast dwa inne, martwe, bezpłodne wyrazy: rachunek i utylitaryz O! moi szanowni i drodzy, — wszak pr wda? — natchnienie to polski rachune poświęcenie, to polski utylitaryzm!

Podnieście, panie i panowie, zdrow poety, oddając tem cześć natchnieniu. J w obec was, najdroższych, bo po za je progami cierpiących dzieci ojczyzny, obec was Polacy, wytrwałych w cierpie niu, niezłamanych w wierze, w obec wa siostry Polki, wierne, niczem nieodstra szone anioły-stróże nasze, ja chyląc czoł podnoszę toast na cześć poświęcenia!

XII.

Toast podniesiony na tejże uczcie.

Młodzieży polskiej toast ten!
Młodzież, to przyszłość narodowa,
Nas Bóg w niewoli poddał sen,
Zbudzenie — dla was chowa.

Bogatą dajem wam spuściznę,
Dla Polski ludów cześć —
Toż pamiętajcie tę ojczyznę!
Wysokiem skrzydłem nieść!

Toż pamiętajcie, że ta Polska
Nie liczbą wag i miar,
Ale ofiarą apostolska
Rozlewać ma swój czar.

Nie darmo ona krwią płaciła
Każden ku niebu ruch —
Jak pod ciężarem wzrasta siła,
Tak w męce wzrósł jej duch.

Młodzieży polskiej toast ten!
    Młodzież, to przyszłość narodowa,
Nam Bóg ten piękny daje sen,
    Spełnienie — dla was chowa,

XIII.

Mowa na uczcie danej dla poety przez młodzież polską w Leodium.

(d. 6 listopada 1869)'

Jest objaw bardzo szczęśliwy, bardzo budujący, który zajaśniał w naszym narodzie po krwawem a chwilowem niepowodzeniu naszego ostatniego powstania. Powiedziałem chwilowe niepowodzenie, bo i ja, panowie, należę do tych, którzy wierzą w potrzebę, w konieczność, co więcej, wierzą w możność „ciągłości" powstania narodowego. „Ciągłość powstania" — wyraz ten ukuli w Galicyi zaprzańcy i małoduszni i ze zgrozą podnoszą go przy każdem zamanifestowaniu się naszych uczuć polskich. Tym wyrazem straszą się oni nawzajem jakby zmorą, a obrzucają go potępieniem i przekleństwem. Podzię-

kujmy tym panom za to doskonałe sformułowanie myśli narodowej i starajmy się zasłużyć na ich zaszczytne potępienie.

Objaw, o którym na początku wspomniałem, jest ten: młodzież tłumnie, z zapałem rzuciła się do nauki. Co to znaczy? czy już zaparła się walki o Polskę, a teraz na nowej drodze szuka dla siebie powodzenia, karjery, chleba? Nie! nigdy w to nie uwierzę. Bój dalej się toczy — trwa ciągłość powstania — a wy, panowie, między jedną a drugą bitwą chodzicie do szkoły z karabinem w ręku. W naszem położeniu czem może, czem powinna być nauka? Naprawą złamanej — ostrzeniem stępionej broni; z równoczesnem podniesieniem broni nowej, bo nauka sama przez się jest także bronią. Ułan, kiedy mu pęknie lanca, chwyta za pałasz. Dopókąd nie będziemy mieć Polski wolnej, niepodległej i w dawnych granicach, nie ma mowy o poddaniu się; może być tylko zawieszenie broni, wystarczające na jej naprawę lub na jej zamianę. Bitwa została przegraną — niech żyje Polska! i dalej w bój!

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Terminu zbrojnego ruchu nie stawiam,

nie stawia go nikt, ani najgorętszy z patryotów. Zanadto wiele ran mamy na sobie. Cały nasz naród jest jakby w ambulansie. O co więc chodzi? Chodzi o moralne usposobienie w jakiem się ranni znajdują. Cobyście powiedzieli o żołnierzu, okaleczonym na polu bitwy, za sprawę najświętrzą, gdyby wyrzekał bluźnierczo, gdyby przeklinał sprawę za którą walczył, a walczył dobrowolnie; gdyby plwał na swoich wodzów, z których większa część nie miała nawet tego szczęścia, aby zginąć na polu, ale uwisła na szubienicznych postronkach; gdyby ten żołnierz marzył już tylko o poddaniu się na zawsze zwycięzkiemu wrogowi; gdyby marzył o pojednaniu, a nawet o zlaniu się z nim! Wiem cobyście powiedzieli? — Tchórz podły — Żołnierz sprawy świętej, godny tego imienia, ranny i zwyciężony, błogosławi swojej krwi dla niej wylanej; jeśli przeklina, to przeklina chyba swoją niemoc i szpital, w którym się znajduje, a marzy o nowym boju, kiedy wyzdrowieje.

Chodzi więc o to, aby myśl o przyszłej walce za ojczyznę, była nam myślą

przewodnią, dzierzgała się złotą nicią we wszystkie nasze czynności, we wszystkie nasze prace narodowe. Bo inaczej te roboty na nic. Odstraszającym przykładem niech nam będzie Galicya. Ile tam na pozór ruchu politycznego! ile stowarzyszeń, ile mów o pracy organicznej! a wszystko to martwe albo niedołężne i zaspałe. Dla czego? Bo ta nieszczęśliwa cząstka Polski zwątpiła o Polsce, a losy jej — o ironio! — powierzyła Austryi!

Mamy cechy, które swoją wyrazistością odróżniają nas od innych narodów na północy. Mamy gorące serce i żywą wyobraźnię. Między te dwa przymioty wbijmy klinem: r o z u m — a w przyszłości stać się możemy jednym z narodów, dziejowo innym przewodniczących. Czem była ta trójca, okazał złoty wiek Zygmuntów. Czem było uczucie i fantazja bez rozumu, okazał wiek, w którym zatraciliśmy ojczyznę. Bo natenczas uczucie wyrodziło się w prywatę i rozpustę, a nie zapominajmy, że nawet spisek targowicki nie składał się ze samych tylko zdrajców, byli tam także głupcy i fanatyści, którym się zdawało, że bronią złotej wolności i idei republikańskiej.

Jeszcze jedno słowo. Uczciliście mnie, kochani bracia, głównie za pieśń, która nietylko brzmiała w świątyniach, brzmiała i na polu bitwy. Wyznanie „Bóg był i jest" Polacy zawsze stwierdzili i teraz stwierdzili krwią. Jeszcze na nas nie ciąży ten wstyd, aby kto w naszym narodzie widział potrzebę bronienia istności Boga. Nie pojmujemy go nieraz, ale go nie zaprzeczamy. Nauki ścisłe, którym się oddajecie, budzą ateizm tylko w umysłach płytkich; w głębszych (a duch polski jest bardzo głęboki) one potęgują wiarę.

Nakońcu jakże wam podziękować za to ugoszczenie, za te objawy miłości wychodzące dla mnie z grona młodzieży, którego wyszczególniająca się zacność doszła do wiadomości kraju? Podziękuję życzeniem.

Ci z was, którzy poświęcają się chemii i mechanice, oby kiedyś stawiali dla nas młyny prochowe! a ci, którzy uczą się miernictwa, oby kiedyś wytyczali obozy! Architektom życzę, aby kiedyś na wolnej naszej ziemi oprócz fabryk, budowali także świątynie pańskie i panteony narodowe.

Podnoszę toast na spełnienie tych życzeń i na waszą cześć i pomyślność! a także, na cześć tu obecnego waszego przewodnika, znakomitego i wypróbowanego obywatela w ojczyźnie, który dziś jako tułacz przyświeca wam przykładami cnót i patryotyzmu, — na cześć Alexandra Guttrego!

XIV.

Słowo od trumny żołnierza z powstania Kościuszki podczas pogrzebu we Lwowie.

(d. 8 stycznia 1870).

U naszego ludu przy pogrzebach jest obyczaj taki. Nim ubogą trumnę zsuną do dołu, staje jeden z krewnych zmarłego i w jego imieniu mówi do obecnych pożegnalne słowo. Któż z nas nie zechce się policzyć do krewnych tego cichego bohatera, tego żołnierza z powstania najczystszego, bo opromienionego anielstwem Tadeusza Kościuszki? Któż z nas nie czuje się wnukiem tego starca przeszło stuletniego? I jam jego wnuk — i niechże mi wolno będzie powtórzyć to, co z jego trumny słyszę.

S. p. Antoni Piórecki mówi tak: Dziękuję wam, rodacy, za oddaną mi ostatnią posługę. Ze czcią odprowadziliście do grobu mnie żołnierza, bo wy sami żołnierzami stuletniej naszej walki o Polskę. A kraj nasz obozem, a bronią duch patryotyczny.

Nie dawajcie mi łez, wszak jam już moje wszystkie wypłakał. Zachowajcie je do waszej modlitwy za ojczyznę. Łza poparta modlitwą i wiarą, to radość; a ból to moc; a grób to, zmartwychwstanie!

A mówię wam, że łza dobrą jest przy skrusze, ale od łzy milszy Bogu — czyn.

Odchodząc z tego świata — tak dalej odzywa się głos z trumny — nie będę wam mówił pochlebstw, ale powiem słowo surowej prawdy.

Trwonicie ducha na dobre chęci i na marne słowa, a pracy waszej nie widać.

Lubicie popisywać się tego rodzaju patryotyzmem, który jedna natychmiastowe uznanie, wywołuje oklaski; toż Polska nie ma z niego pożytku, bo całą korzyść wy zabieracie dla siebie. Cicho pada ziarno do roli, cicho tam kiełkuje, a z niego potem kłos i zdrowy pokarm.

Rozprawiacie o oświacie ludu, posyłacie mu czasem książki, zakładacie gdzie niegdzie szkółki — a to, czego ten lud od wieków pragnie, za czem on tęskni, coby go od razu podniosło i uszlachetniło: Miłości! tej mu nie dajecie. Pan Tadeusz, nasz naczelnik, kochał lud, toż przez niego lud pokochał Polskę.

Pożera was niewiara. Hołdujecie sile materji, która chwilowe daje powodzenie, a lekceważycie potęgę ducha, która działa na wieczność. My kosami zabieraliśmy armaty, wy i z armatami nie podołacie wrogu, jeśli nie poprawicie się.

Takie słowa i skargi idą do mnie z tej trumny — powtórzyłem je. Jakąż im dać odpowiedź? Jedną tylko, godną nas, godną tego patryotycznego patryarchy. Poprawimy się!

Z głębi serc przyrzekamy ci nasz ojcze: Poprawimy się!

Świadkiem niech nam będzie słońce, które niespodziewanie pośród zimy wiosennemi promieniami oblewa twoją trumnę: Poprawimy się!

XV.

Toast

"KOCHAJMY SIĘ"

na uczcie danej we Lwowie dla Jana Królikowskiego artysty dramatycznego z Warszawy.

(d. 20 maja 1870).

Zdarza się często, że wielcy ludzie w godzinie śmierci, w chwili, kiedy ich duch gotując się do odlotu skupia się i streszcza, wypowiadają krótkie słowa, dające narodowi, z którego wyszli, rodzaj nakazu, rodzaj misyi — hasło na przyszłość. Jest to ich testament.

Umierający Goethe wołał: Światła, więcej światła! Na obcej ziemi konający Mickiewicz pożegnał cały nieszczęśliwy swój naród jednem słowem: kochajcie się!

I będzie tak! I będzie kiedyś w całej bożej pełni to, co już jest w ułomnym na-

szym narodzie. Polska stanie się dla ludzkości jej sercem, rozlewającem po niej ciepło i miłość, dającem jej dobre natchnienia.

„Kochajmy się!" Oprócz naszego, żaden inny naród nie posiada równie wzniosłego toastu. To toast Chrystusowy. W nim drży duch Polski pragnący według swego przeznaczenia w żywsze, niż dotąd, życie wprowadzić boską nauką Jego.

Kiedy nasi zaborcy przypatrując się polskiej uczcie, nas niewolników, usłyszeli po raz pierwszy ten podniesiony okrzyk: Kochajmy się! — to zadrżeli, to struchleli, to zwątpili, aby taki naród na długo dał się utrzymać w pętach niewoli. Niestety! przekonali się oni potem nieraz dowodnie, że my kochamy się — tylko przy kielichu.

My poćwiertowani przez wrogów, my bardziej jeszcze rozbici wewnętrznym naszym swarem — kochajmy, naprawdę, „Kochajmy się" — a pękną nasze okowy, a znikną dzielące nas kordony, i na wolnej ziemi, trójbliźniacy: Mazur, Litwin i Rusin, szczęśliwi, rozpłomienieni padną sobie z tym okrzykiem w objęcia — a na ten widok Bóg słodko uśmiechnie się.

Chociaż nasz pokutny kielich zaprawiony jest goryczą, bylebyśmy nie dolewali weń własnego jadu, wychylimy go aż do dna z pokorą, umocnieni świętym okrzykiem: „Kochajmy się!"

A kiedyś nasza Polska schodząca z krzyża, pełna miłości i przebaczenia, nie wyprostowawszy jeszcze rozciągnionych ramion, odezwie się do całego świata słowem: „Kochajmy się!"

I stanie się natenczas „Królestwo Boże" na ziemi, o które w codziennej modlitwie, z tęsknotą, dopominamy się u Boga. Ale dziś, ale teraz, — sobie na siłę, wrogom na trwogę i na wzgardę, wykrzyknijmy, rodacy, ze szczerego a wytrwałego serca: „Kochajmy się!"

W takim duchu podnoszę ten toast i spełniam go.

XVI.

Mowa przed wyborcami lwowskimi.

(d. 28 czerwca 1870).

Postawiony zostałem przez komitet centralny Towarzystwa narodowo-demokratycznego jako jeden z kandydatów do krzesła poselskiego z miasta Lwowa. Winienem najprzód podziękować temu Towarzystwu, że, chociaż nie należę do jego koła, uważa mnie za swego stronnika. Tak jest — wyznaję od dawna zasady demokratyczne i staram się pełnić je w mojem życiu, a co się tyczy polityki kraju, w tej chwili podzielam w zupełności zapatrywania się na nią p. Smolki, prezesa tego Towarzystwa.

Randydatura moja była tu wczoraj publicznie wymienioną, zmuszony więc jestem równie publicznie wypowiedzieć, z

jakich powodów uważam za stosowne usunąć się od tej kandydatury.

Rozmówiłem się z mojem sumieniem. Stanąłem z niem na jasno. Pozwólcie mi, panowie, przedłożyć wam rezultat tej konferencyi. Nie zabiorę wam wiele czasu — będę się starał być treściwym, a wynurzę się przed wami otwarcie.

Mam niektóre własności i rysy charakteru, mam niektóre zasady głęboko, twardo u mnie wkorzenione, które nie mogą mnie stawiać jako człowieka politycznego w dzisiejszem pojęciu i przy dzisiejszych warunkach.

Oto ich szereg:

Jestem za gorący, a przytem bezwzględnie szczery; nie lubię krętych dróg, wolę gościniec choćby cierniami usłany a wprost do celu prowadzący.

Uczucie stawiam wyżej rozumu, a natchnienie u mnie to rozumu szczyt.

Przedewszystkiem cenię niezależność mojej osoby i moich przekonań; tem samem nie łatwo poddaję się karności.

Pragnę zgody, tej harmonii dusz — jeśli komu, to nam ona bardzo jest potrzebną — ale dla miłej zgody nie zrobię nigdy najmniejszego ustępstwa z wewnę-

trznej treści moich przekonań — z formy łatwiej. Dla tego nie rozumiem, jak można naprzód solidaryzować się z innymi w sprawach, które dopiero narodzić się mają.

Dla spodziewanego szczęścia idei, chociażby w najdalszej przyszłości, poświęcę zapewnione korzyści dające się natychmiast osiągnąć przez zachwianie tej idei. Bo sądzę, że każde żyjące pokolenie, jeśli tego objawi się potrzeba, powinno być bezpłatnym pracownikiem dla szczęścia i dobra pokoleń następnych.

Dobro ogółu zdobywa się często przez ofiarę pojedyńczych ludzi. Ofiara jest rozkoszą dla ducha. Otóż zawsze i wszędzie znachodzą się tacy, dla których taka rozkosz więcej ma powabu, niż każda inna, niższa, przez zewnętrzny świat im dostarczana. Oni nietylko ofiarują siebie, ale zachęcają, kuszą innych do ofiary, upominają się o nią nieraz gwałtownie. Ztąd nienawiść dla nich. Miałem zaszczyt, panowie, być z tego powodu nieraz nienawidzonym.

Wolę męczeństwo niż demoralizacyę. Wolę widzieć mój naród jeszcze w dłuższym ucisku, niż gdyby miał zdobywać

pozorną swobodę przez zaparcie się swojej godności. Nie ten jest niewolnikiem, kto dźwiga kajdany, ale ten, kto schlebia i łasi się swoim nieprzyjaciołom.

Między nimi mniej jest niebezpieczny dziki barbarzyniec katujący ciało, niż ten, który przewagą swoich środków zawsze starał się i dotąd stara się zabijać naszego ducha. Rany się goją, ale z moralnej śmierci już się nie zmartwychwstanie!

Zarówno nienawidzę wszystkich zaborców. I nie pojmuję jak można w interesie Polski wchodzić w przyjaźny sojusz z którymkolwiek z nich. Nemezis dziejowa niech się pełni! Ona każe, aby oni po żarli się między sobą. Już była jedna wojna taka — będą inne! Na ich poćwiertowanych ciałach stanie wolna Polska jednolita!

Dodam jeszcze w końcu, że jestem republikaninem.

Sam wybór na posła nie daje jeszcze wybranemu żadnego zaszczytu — jest to dopiero akt położonego w nim zaufania. Zaszczyt zaczyna się dopiero wtenczas, kiedy godnie odpowiada się temu zaufaniu. Czuję najgłębiej, moi panowie, że gdybym dziś wszedł do izby poselskiej

nie odpowiedziałbym waszemu zaufaniu. W szerokim poglądzie znikają dla mnie szczegóły. Mógłbym szkodzić nieraz prywatnym interesom kraju, patrząc daleko, myśląc o całej Polsce. Popełniałbym co chwila tak zwane kroki niepolityczne.

Przyjdzie zapewne pora, kiedy i mnie i wam wydawać się będzie, że człowiek moich uczuć i przekonań może być czynnym a nawet pożytecznym w polityce; wtedy raczcie przypomnieć mnie sobie.

Tymczasem zostanę na skromnem mojem stanowisku, na stanowisku poety i wiejskiego gospodarza, kochającego gorąco lud, bo widzącego w nim materyał do odrodzenia, do odżywienia psującego się naszego społeczeństwa. Wy, panowie, jako właściciele włości, którą dzierżawię, zechciejcie mi być pomocnymi w tej mojej drobnej pracy dla dobra ludu, a mianowicie dla jego oświaty. Poznamy się przytem bliżej i lepiej — i mam nadzieję, że zjednam sobie z czasem waszą miłość i uznanie, do czego dotąd nie wiele miałem sposobności.

XVII.

Toast na cześć Wielkopolski na zjeździe polskim we Lwowie.

(d. 14 sierpnia 1871).

Każą mi bracia toast wznieść,
Więc staję.
Nad inne polskie kraje
Tej ziemi cześć,
Tej ziemi cześć i chwała,
Co białe orły wydała!
Orłowy lot, to w niebo i słońce;
Białość, to czystość ducha i prostota.
Polacy! wyście tych potęg obrońce,
To waszych dziejów robota.
Czy chcecie, czy nie chcecie,
Czem kazał Bóg — będziecie!
On rzekł: Ludzkości kiedyś na (zbawcę
Wezmę naród pokutny, syna-ma- (rnotrawcę,

Z krwi morza on w słońce
(chwały
Wzleci jak orzeł biały.

Dziś my w upadku — a nie dla tego,
Że naszą wolę łamią lub strzegą;
W nas, w nas to samych psuje się
(wola —
W tem najstraszniejsza niewola!
Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czem kazał Bóg — będziemy!
Jeśliśmy z grzechów dotąd krwią
(nie zmyci,
To dłużej będziemy bici,
Aż nie dorośniem po mału
Do wytkniętego ideału.

Szerzy się w sercach i mózgach zaraza,
Idzie wiek straszny pychy i żelaza,
Padną tyrani wielcy, zastąpią ich mali,
Równie bezbożni a bardziej zuchwali.
I wytknie im się droga
Bez Boga!
I porwie ich zawierucha
Bez ducha!
I poczną żywot w bydlęcej niskości,
Bez pieśni i bez miłości!

O Polsko nasza, przyszła matko ludów!
Po nad kałuże krwi i ścieki brudów,

Ty wtenczas prawa boże i święte zwy-
(czaje,
Będziesz na białem, orlem skrzydle
(nieść!
A więc nad wszystkie świata kraje
Tej ziemi cześć,
Tej ziemi cześć i chwała,
Co białe orły wydała!

XVIII.

WSTĘPNE SŁOWO

do opowieści dziejów rozbioru Polski, mianej w Stowarzyszeniu rękodzielników lwowskich "Gwiazda," przez jego prezesa Mieczysława Darowskiego.

(w styczniu 1872).

Zaczęliśmy rok nowy, rok straszny. Rok, który jest stuletnią rocznicą pierwszego rozbioru, pierwszego morderczego ciosu, dokonanego na Polsce, na wspólnej naszej matce. Po moich kilku wstępnych słowach zabierze głos czcigodny prezes waszego Stowarzyszenia i opowie wam dzieje, tych przez trzy razy powtarzających się katowskich ćwiertowań na żywem ciele naszej ojczyzny; porwie on wasze dusze i poprowadzi w żałobnej procesyi przez pierwsze stacye męki narodowej. Mnie, w tej procesyi, poruczono zaszczytny urząd chorążego; mam iść ze

słowem naprzód jakoby ze sztandarem. Sztandarem Polski — krzyż! Z tem godłem wiary i zbawienia rozpoczynam boleśny nasz pochód.

Upadła Polska — dla czego? bo o to jej dzieci postarali się. Trzeba nam głęboko przejąć się tą myślą — inaczej nie podniesiemy się. Jest Bóg! bo są prawa moralne. W stworzeniu, widać nietylko mądrość i porządek, widać coś szczytniejszego — widać sprawiedliwość. Gdzie spotykamy karę, szukajmy, znajdziemy tam grzech. Gdzie spotykamy łaskę i błogosławieństwo boże, znajdziemy tam zasługę lub szczerą pokutę.

Ze skarbów ducha nic uronić nie wolno. Bóg żąda rachunku z tego, co kto posiadał. Im kto więcej ma, tem więcej jest odpowiedzialnym. W upadku jest ten, kto stojąc na wyższym stopniu swej wartości, zsuwa się na niższy stopień. Ten jego niższy stopień, dla wielu innych, jeszcze niżej stojących, może być szczytem ich pragnień, szczytem ich spodziewanej doskonałości — a jednak ów będzie karanym, bo on stał już wyżej. Tak rozumieć należy to, co nazywamy upadkiem Polski, tak rozumieć należy jej karę i pokutę.

Przodkowie nasi pracą ducha zdobyli i posiadali takie dary niebios, których im wszystkie inne narody zazdrościły — posiadali wolność wielką i miewali natchnienia boże. Ale oni ugrzęźli później w swem zadowoleniu — i zamiast sięgać wyżej, zdobywać więcej, dzielić się posiadanem z uboższymi, poddali się lenistwu ducha i samolubstwu, aż ich wolność przerobiła się w swawolę — i odbiegły ich natchnienia święte.

Już stojących na pochyłości ostrzegały przed przepaścią poważne głosy, wychodzące z pośród nich samych; na przeszło cały wiek naprzód przepowiadały one straszny ojczyźnie koniec. Oni mimo uszu puszczali przestrogi i przepowiednie i brnęli dalej w grzechach, wiedząc o tem, że grzeszą. A gdy budziły ich głosy sumienia, to chcąc zatracić pamięć — pili! Były czasy, kiedy cała szlachecka Polska popuszczała pasa i piła — a te sromotne czasy, nazywają współcześni w swych zapiskach, epoką największej szczęśliwości!

My nie lepsi od naszych grzesznych ojców, ale gorsi, bo oni grzeszyli w zaślepieniu powodzenia, a my grzeszymy pod-

czas nałożonej nam pokuty. my bylibyśmy przeklęci, gdybyśmy śmieli rzucać kamieniem na piorunami roztrzaskane ich grobowce! Naród, to zbiorowy człowiek — a co zdrożne człowiekowi, zdrożnem jest i narodowi. Wolno nam ciągnąć naukę z grzechów i ułomności naszych ojców, ale przytem po synowsku czcijmy ich pamięć, abyśmy jako naród żyli długo i dobrze nam się wiodło na ziemi.

Pokutujący my i cierpiący, o jedno prosimy Cię Boże — o poznanie i przejęcie się „mądrością boleści.”

XIX.

PAMIĘCI TRAUGUTA.

Wiersz wygłoszony przez p. E. W. w kółku prywatnem, które zajmowało się uzbieraniem funduszu dla wychowania córek po śp. Romualdzie Traugucie.

(d. 5 maja 1872),

Na stoku cytadeli poniósł śmierć okrutną...
Nie ginie, kto za wiarę i wolność umiera;
A jednak grób zarasta, pamięć się zaciera —
To smutno!
Ledwie dla własnych potrzeb wystarcza (uczucie,
Przestano cześć oddawać żałobnym pa- (miątkom —
I brakło chleba twoim sierocym dziewcząt- (kom
Traugucie!
Poskarżę się przed tobą, coś trwał do (ostatka;

Upada Polska — z winy, nie dzikich Mo-
(skali,
Nie chytrych Niemców... na własne dzieci
(się żali
Ta matka.

Bluźnią jej, urągają — a w każdym blu-
(źniercu
Już jest zatrute ziarno, co w zdradę kieł-
(kuje;
Okropnie idą czasy, okropnie.... och czuję
Tu w sercu!

Dokończą pieśń przedzgonną ostatnie ła-
(będzie,
I ścichnie na wiek cały. Powiedz, ta ich
(Polska,
Ona ewangieliczna, ona apostolska,
Czy będzie?

On orzeł: Jeżeli z wiernych trzech tylko
(zostanie,
Tylko trzech napełnionych dawnym idea-
(łem,
To Polska z tych trzech wyjdzie, oblecze
(się ciałem,
I będzie!

— A jeżeli nie znajdzie i trzech — co się
(stanie?
On rzekł: To duchy zmarłych jeszcze raz
(powtórzą,
Przebyte już żywota, i Polskę wysłużą —
I będzie!

XX.

Mowa otwierająca pierwsze walne zebranie Stowarzyszenia wzajemnej pomocy artystów i literatów we Lwowie.

(d. 17 maja 1873).

Spływa na mnie zaszczyt publicznego przemówienia przy otwarciu instytucyi wielkiej wagi a większej jeszcze doniosłości. Ta instytucya ma na celu zgromadzić i związać ze sobą pewną solidarnością, wszystkich zamieszkałych w tym kraju artystów i literatów każdego zawodu.

Ludzie myśli, ludzie ducha i natchnienia, powzięli zamiar zejść się przy jednem ognisku. Już to samo upoważnia, co więcej, nakazuje zapatrywać się na tę sprawę z wysokiego moralnego stanowiska.

Nie jest to tajemnicą — ślepi to widzą, głusi słyszą — że jakieś wielkie światło zagasa, że coś wielkiego w gruzy się wali. To gaśnie światło dawnych ideałów, a bez tej ożywczej duszy, wali się w gruzy świat stary. Nie nam żałować za nim Brzydkim on stał się i spróchniałym. Dusze w nim po większej części bez sumienia lub bez ideału; toż świątynie jego bez świętości, a jego ewangelje bez miłości i miłosierdzia. I w tym dzisiejszym świecie przewrotność nazywają rozumem, a cnotę głupotą; obłudę nazywają pobożnością, a dobroć słabością; prywatę nazywają poświęceniem, a wierność zasadom, zaciekłością i uporem. Siła jest prawem, powodzenie wszystkiem. Nagromadziło, napiętrzyło się zło na wysokość babilońskiej wieży.... Niechże się wali.

Już słychać młoty rozbijaczy tych murów. Tłumy tam liczne, nieprzeliczone. Nie miano dla nich litości — będą bez litości.... Czem ich karmiono tem wyrośli.

Najpierwszy z żyjących poetów, syn narodu wielkiego, chociaż dziś w swej wielkości zachwianego i upokorzonego — geniusz ten potężny i czcigodny starzec,

którego, nawiasem mówiąc, pewien młodzik nieokrzesany, należący do tych zaciekłych, co szkodę przynoszą każdemu stronnictwu, miał przedziwną odwagę w piśmie polskiem, drukowanem w Krakowie, psem nazwać; wielki ten poeta kończy swoje dzieło obrazem następującym: Wzbiera i rośnie straszna fala, mająca odrodzić i opłukać ten świat. Rośnie i sięga coraz wyżej — zmiotła giełdy, zmiotła już i trony. I słychać głosy przerażenia — bo ta fala sięga już i tam, gdzie stoi ksiądz ze mszałem i sędzia z kodeksem w ręku.... Sądziliście, odpowiada fala, że jestem przypływem morza — ja jestem potopem!*)

Ubóstwiono materyę i siła jej wzbierze i zaleje świat. Oto potop przyszły, bliski, niechybny, niezbędny! Lecz powiedzianem jest: że duch Boży unaszał się nad wodami... Jest Duch boży, jest swiat Ducha, jest on, jest! My tu zebrani czujemy go w piersiach naszych! Jeżeli komu, jeżeli gdzie wypowiadać z radośnym zapałem tę prawdę nieśmiertelną — to mnie, w obec was!

---

*) L'aunee terrible przez Wiktora Hugo.

Ludzie ducha, ludzie natchnienia więcej żyją przyszłością świata, niżeli jego chwilą bieżącą. Dla jego przyszłości cierpią i pracują. Sieją, aby inni zbierali — a ich użyciem, marzyć o uczcie, którą potomni z tych planów na ich grobach dla siebie zostawią. Więc chociaż światło gaśnie, my wiemy, że ono kiedyś, kiedyś, nierównie świetniej zapłonie; chociaż świat stary w grózy się wali, my wiemy o piękniejszym budynku nowego, dalekiego świata; i chociaż słyszymy szumy nadchodzącego potopu, my wiemy, że nie ma potopu bez arki i bez Araratu.

Ta arka przechować ma ideały i prawdy moralne, które są warunkiem bytu dla ludzkości, a które ona, czy chce, czy nie chce, pracą, choćby tysiąca wieków na nowo musiałaby zdobywać. Ludzie ducha będą cieślami przy budowaniu tej arki. Niechże jak najwięcej dzieci Polski w tej pracy uczęstniczy, a wtenczas spełnią się przeczucia wieszczów naszych, że, w krztałcie ołtarza wynurzającym się z fal, Araratem, będzie ofiarna Polska!

Instytucya nasza ma właśnie na celu ułatwić pracę polskim budownikom owej kari.

Duch to wolność! Naród, czy człowiek, popada dopiero wtenczas w rzeczywistą niewolę, kiedy zatraci ducha. Materyalizm, to najstraszniejszy z despotów, bo tworzy niewolników dobrowolnych, ochotnych. Cóż po swobodach politycznych, jeżeli jarzmo każdy sobie sam nakłada. Serwilizm już przestał być u nas grasującą chorobą — bo stał się naturą. Ci co zasłaniają się tym absurdutem, że serwilizm może być środkiem do osiągnienia wolności — kłamią! Oni gną się, bo mają lokajstwo w duszach; oni gną się, bo na wosk roztopiony zmiękła im kość pacierzowa.

Minął już czas, kiedy mówiono, że władza od Boga pochodzi. Dziś władza stała się Bogiem. Patrzcie! jakie zawsze i wszędzie czołobitności przed każdą władzą, choćby ją posiadał człowiek pogardy godzien! Jakie dla niego uznanie zasług, choć jeszcze nic nie zrobił! jakie uwielbienie cnót, choćby był zdrajcą i przeniewiercą dawnych własnych przekonań!

Być niewolnikiem, aby mieć niewolników, to rozkosz dusz podłych. Od takich to wstrętnych ludzi idą nieraz pokusy na ludzi ducha. Oni, którzy się sami sprze-

dali, a przekonywać już nie mogą, przychodzą ze słowem: kupuję! A nietylko za Judaszowe srebrniki można się sprzedać, częściej za opiekę, za protekcyę, za posadę, za widoki na przyszłość. U nas mężczyzn sprzedaż duszy jest taką hańbą, jak u drugiej płci sprzedaż ciała.

Bronić innych od takich przepaści, dawać im możność opierania się na bratniem, poczciwem ramieniu, przyczyniać się do ich niezależności, która w człowieku chwiejnym jest jego kotwicą moralną — oto zdanie naszego Stowarzyszenia.

Ludzie ducha są jak ptacy niebiescy. Nieraz jedynie Opatrzność opiekuje się nimi. Często oni bez gniazd, często ze skrępowanemi skrzydłami. Rozwiążmy im skrzydła i puśćmy na wolne loty! A może kiedy dadzą się oni wszyscy zwołać i związać w jeden wielki wiośniany klucz żórawi i natchnąć jednym duchem i skierować na jeden cel narodowy i święty. A to niech będzie zadaniem przyszłości dla naszego Stowarzyszenia.

Czy można mieć nadzieję, że przynajmniej ta instytucya znajdzie u nas gorliwe i wytrwałe poparcie, rozwinie się, nie upadnie?...

XXI.

Toast
"CIESZMY SIĘ W PANU"

na uczcie we Lwowie w stuletnią rocznicę ustanowienia Komisyi Edukacyjnej.

(d. 17 lipca 1873.)

Zdawało się, że po toaście dopiero co podniesionym, a tak pięknym, że zwykł zakończać każdą polską ucztę, że po toaście „Kochajmy się" już nie znajdzie się inny, bo już niema toastu bardziej pięknego i wzniosłego. Jest!

„Kochajmy się" to dopiero przedsionek do świątyni; on dopiero przygotowuje do tego toastu, który podnieść zamyślam. Kto kocha, zbliża się do Boga. Miłość jest stopniem prowadzącym do czci. Komuż oddać cześć jeśli nie Najwyższe-

mu? Mój toast brzmi: „Cieszmy się w Panu!"

Biesiady to okrzyk nie nowy. Znanym on był bardzo dawno; zrodził się na skromnych, ukrytych biesiadach pierwszych chrześcijan i wtedy, kiedy z trwogą nasłuchiwano, czy centurion nie wywala drzwi, aby powlec zgromadzonych na męczeństwo. A jak żłobek betlejemski przeobraził się i wyrósł na gmach watykański, tak ten święty okrzyk „Cieszmy się w Panu" brzmiał puźniej, w średnich wiekach, na hałaśliwych ucztach rozpanoszonych zakonników. Ale ja podnosząc ten toast chciałem wrócić do żłobka.

Czas zostać żołnierzami Boga i stanąć pod bronią! Już czas! Błogosławiony, kto słyszy trąby zwołujące.

Zapadamy w pierwotny, najgrubszy poganizm. Jednym tylko potęgom ziemskim oddajemy cześć. Czcijmy tylko to, czego się lękamy, a miłujmy tylko siebie. I, o zgrozo! znaleźli się kapłani prawdziwego Boga rzucający kadzidła, już nietylko na ołtarze poświęcone cezarom, ale nawet na domy ich prefektów.*)

---

*) Ten fakt rzeczywiście wydarzył się w Krakowie w r. 1873 w czasie procesyi Bożego Ciała.

Otóż, kiedy tyle sił bije na wszystko co święte i natchnione, kiedy usta wielu lewitów drętwieją i milkną w boleśnem zwątpieniu, niech zrywa się kto wierzy i chce, i niech świadczy Bogu! niech wyznają i głoszą go usta celników i publikanów!

Wierzę w Polskę, bo wierzę w Boga; a zwątpiłbym może w Boga, gdybym przestał wierzyć w Polskę. Bóg i Polska, to nie dwie wiary, to wiara jedna. Ateusz wyznający i kochający ojczyznę, albo jest człowiekiem płytkiego, nielogicznego umysłu, albo patryotyzm kłamie. Jeżeli w jego sercu mieszka ojczyzna, jest tam i Bóg! Biedny! i o takim gościu w swoim domu on nie wie! I odwrotnie, zły Polak nie może być szczerym wyznawcą Boga; to jak gdyby kto ojca szanował a matkę poniewierał. Zły Polak będzie złym człowiekiem, choćby on codziennie się spowiadał i codzień składał świętopietrze.

Wierzymy w Polskę, chociaż dzisiejsze żyjące pokolenie nie zasługuje na nią. Wierzymy, bo są duchy i są jeszcze nienarodzeni; a to znaczy: wierzymy w zasługi i opiekę naszych przodków, a w cnotę, moc i zwycięstwo naszych potomków.

Bóg był i jest! Kto Jemu ufa, ten śmiało porusza gniazda węży i szerszeni, ten na śmiech urągaczy odpowiada politowania uśmiechem; ten, kiedy nań padają kamienie potępienia, powie: lecą na mnie gwiazdy świecące i pachnące róże!

Byłeś i jesteś! a zwycięstwo zawsze przy Tobie i przy wiernych synach twoich!

Cieszmy się w Panu!

XXII.

Wiersz wygłoszony na obchodzie stuletniej rocznicy założenia drukarni Pillera we Lwowie.

(d. 20 września 1873).

Jest metal jeden,
Jak anioł mocny a zły jak szatan;
Z jednym i z drugim on zbratan,
Gniazdem mu piekło i Eden.
Jego panuje światu potęga;
Tworzy i niszczy, dzieli i sprzęga,
Wieszczy i kłamie!
Ludzkości całej jest on przekleństwem
I błogosławieństwem;
Widome znamię
Spornych ze sobą dwóch apostołów....
Tym metalem ołów.
Jeden w rodzinę wszedł jak nieszczęście;

Zachmurza czoło, porusza pięście,
I wznieca kłótnie o kęs, o miedzę,
O szerszą sławę, o lepszą wiedzę;
Podrażnia gniewem synów na ojców,
Bohaterami nazwał zabójców!
I ściąga braci z Jakubowych drabin,
Miast Ewangelji podaje karabin;
Wyżłobił formę w zakrwawionym mule,
Roztopił ołów — i wylewa kule!
Odtąd na wszystkie skargi i żalenia,
Na wszystkie bóle i wszystkie pragnienia,
Jedyną zawsze ma odpowiedź: kulę!
A dźwięk przy dźwięku,
Jak ręka w ręku,
Tak się współczują
I tak rymują
Kule i króle!
Moc na moc!
Potęga na potęgę!
Ot, jasny dzień rozprasza noc,
Trucizna służy zdrowiu,
Z tego samego ołowiu
Duch dobry ulał czcionkę,
I dobre czcionki związał w koronkę
I złożył księgę!
Gdy czcionka zabije kulę
Znikną żołdaki i....

Zwaśnionym braciom rozgoreją serca,
W tor nowy pójdą święcie i statecznie,
Duch zakróluje, którego otula
Ta nikła czcionek osłonka.
Niechże w śmierć idzie to co uśmierca,
Co daje żywot niech żyje wiecznie —
Niech ginie kula!
Niech żyje czcionka!

XXIII.

Mowa miana w Samborze na zgromadzeniu wyborców.

(d. 5 października 1873).

Zaproszony przez tutejszy komitet wyborczy do współubiegania się o krzesło poselskie do Rady państwa — stawiam się.

Kandydaci poselscy zwykle wypowiadają przed wyborcami swoją wiarę polityczną. Ja uczynię więcej. Ja przed wami, panowie, odkryję mój grunt, moje sumienie, moją, że tak się wyrażę, glebę duchową, abyście osądzić mogli, co na takim gruncie da się zasiać i jakiego plonu spodziewać się można.

Zapytacie, panowie, jakie są moje tytuły, aby starać się, a może osiągnąć naj-

większy dowód waszego zaufania, bo prawo zastępywania was w interesach waszych moralnych w obec naszych przyjaciół i nieprzyjaciół — i na wielkiej widowni, zkąd w danym razie, wypowiedziany głos mógłby rozlecić się szeroko i daleko. Mam jeden tylko tytuł, jedną godność, której niezamieniłbym za żadną inną, choćby na najwyższą jaką świat dać może. Mam siebie za dobrego Polaka — i z tym jedynym tytułem przychodzę do was.

Służyłem Polsce czem mogłem: słowem i czynem, cichą łzą i głośną modlitwą. A od lat dziecięcych liczę lata moje dla niej służby. Pierwsze żywsze uczucie, które obudziło się w mojem sercu było jej poświęcone. Pierwszy wiersz, który skleciłem, mając lat ośm, był wierszem patryotycznym.

W czem leży polskość? kto jest dobrym Polakiem? Ten kto wierzy i kocha!

Zwątpienie, to rzecz ludzka. Wątpili i święci. Chodzi więc o to, aby w zwątpieniu nie trwać, aby w niem nie rozkoszować, aby niem nie gorszyć innych, aby znajdując się w ciemnościach zwątpienia,

pasować się i rwać całą siłą duszy do światła wiary. Im silniej kto wierzył, tem boleśniej nieraz wątpi — a z bólu rodzi się większa część pieśni poetów. A jednak chociaż zapadałem w bolesne zwątpienie, wlokłem się przez ten czyściec w ukryciu i milczeniu — i mój naród o tem nie wiedział. I dziś nie głosy moje patryotyczne, lecz to milczenie ośmielam się tu podnieść jako moją zasługę.

I nie klęski narodowe, chociaż tak straszne, nie ciosy zewnętrznych naszych wrogów — ale moralny upadek narodu zachwiewał chwilowo moją wiarę i wtrącał mię w gorycz i chmurne milczenie. Słyszałem całe zgraje głosów, trąbiących po wszystkich kątach i zaułkach kraju, że juz nie w Bogu i nie w nas samych, ale gdzieindziej jedyny nasz ratunek i zbawienie; widziałem publicystów i profesorów odziewających się w błazeńskie szaty Stańczyków i urągającym sławom i cierpieniom narodu; widziałem historyków w liberyi lokajskiej, męczenników i apostołów szukających karyjery i szczęścia w nieczystej grze politycznej, albo w grze giełdowej. Oto miecze, srozsze, niźli

knut moskiewski, bagnet bismarkowski i centralizm wiedeński!

Bogu chwała, wiara moja przeszła przez te wszystkie boleści i dziś stoi twardo; zawsze była gorącą, dziś jest jak rozpalone żelazo.

Drugim objawem polskości jest miłość.

Nie jeden z nas, panowie, przyglądając się starym portretom familijnym, nieraz zdybywał się z twarzą tak uderzającą, że mimowolnie wykrzyknął: Jakże piękna! to prawdziwa, typowa twarz polska! W takiej twarzy jest jasność i pogoda, szczerość i słodycz, uśmiech dziewiczy i powaga królewska; harmonja życia starogrecka i spokojna siła starorzymska; coś ze lwa — i orła — i dziecka — i anioła!

Jaką ta twarz, takim jest duch Polski. Treścią jego była zawsze i jest — miłość. A ta złota nić ciągnie się przez całe pasmo naszych dziejów — chociaż pasmo nie zawsze wzorzyste. I z tej miłości płyną nawet wady nasze: zbyteczna otwartość, zbyteczna ufność, hojność nad możność. Zmieniły się nasze twarze, bo

od stu lat przebywamy męczarnie piekła i wiele uroniliśmy z ducha polskiego. Ale ten duch tętni jeszcze w nieskazitelnej całości w niektórych piersiach, a we wszystkich innych spoczywają jego zarody albo drzemiące, albo obcem śmieciem przywalone — i wstanie ten duch i rozmoże się i zabłyśnie szerzej i jaśniej niż za złotej epoki naszej wolności i chwały!

Obudźmy w sobie tego ducha, który był natchnieniem dla statutu wiślickiego, dla unii lubelskiej, dla ślubu Jana Kazimierza uczynionego w katedrze lwowskiej, dla konstytucyi 3-go maja, dla adresu mieskańców Lwowa w r. 1868, dla dekretu rządu narodowego w r. 1863 — a ucíszą się i załatwią wszystkie nasze wewnętrzne spory, rozwiążą się wszystkie drażliwe kwestye, dotąd nierozwiązane i stojące na porządku dziennym.

Prawem ludzkości jest ruch naprzód, postęp ku lepszemu. Ztąd w każdem społeczeństwie, na pozór najlepiej zorganizowanem i zadowolonem, budzą się z czasem nowe potrzeby, nowe pragnienia. A te należy natychmiast uwzględniać i stopniowo zaspokajać pod grozą i karą gwał-

townych wstrząśnień i wywrotów, które stosunkowo do poniesionych ofiar, dość siły i szczęścia żadnemu narodowi nie przysparzają.

Niezaspokojone te potrzeby i pragnienia wtrącają ciało społeczne w stan chorobliwy, w jakąś gorączkę trawiącą. Dzisiejsi mężowie stanu, może z wyłączeniem angielskich, rozdrażniają tylko ten stan i bardziej go jeszcze rozgorączkowują. Cobyśmy, panowie, powiedzieli o doktorze, który przywołany do chorego, zamiast ułagodzenia jego umysłu, zamiast rozpoczęcia walki ze samą chorobą, napadłby na swego pacyenta z obelgą i z kijem, dlatego że chory — chory bez jego doktorskiego pozwolenia. Otóż dzisiejsi politycy podobni są do takich doktorów, ba, do cyrulików powiem, bo umieją tylko bolące zęby rwać i krew puszczać.

W młodości mojej byłem terorystą. Kochałem moją ojczyznę — przebaczcie brzydkiemu wyrażeniu — wściekle. Piętnowałem na zdrajcę i potępieńca nie jednego, który był tylko zwątpiałym, wprawdzie nie mało winnym, jeśli nie umiał milczeć i szerzył swoje zwątpienie. Póź-

niej z mądrością wieku i doświadczenia wróciłem do treści ducha polskiego, do miłości, do wyrozumienia, do przebaczenia.

Mam teraz często na myśli i na ustach wielkie słowo filozofii, pierwotnie sformułowane przez stoika Marka Aurelijusza, a dopiero w nowszych czasach, pojęte i rozgłoszone, co bardzo naturalne, przez chrześcijańskie serce znakomitej kobiety*): *Tout comprendre, c'est tout pardonner*. Kto wszystko zrozumie, wszystkiemu przebaczy. A wznosząc się nad nizkie namiętności stronnictw politycznych, nieraz przypomina sobie znane przysłowie: Kto sieje wiatr, zbiera burzę — a sam dodaję: Kto sieje złość, zbiera mord! Nie lubię krwi! wolę własną łzę, niż bliźniego krew.

W naszym kraju, w tej części Polski, którą zamieszkujemy, stoimy w porównaniu z innemi jej częściami, pod względem ducha narodowego — może najniżej. Całe nasze społeczeństwo składa się, z bardzo małemi wyjątkami, ze zwątpiałych i z obojętnych. W zwątpienie wpadli niecier-

*) Pani Stael.

pliwi i małoduszni; w obojętności trwają przeżyci i nieobudzeni jeszcze do życia. Otóż, aby te martwe ciała poruszyć, ożywić, podnieść, w ruch wprowadzić, dość jednej chwili wielkiej narodowej nadziei — a w braku takiej chwili, dość magnetycznego prądu, idącego z dusz silnych wiarą i miłością, wytrwałych w obranym kierunku i związanych ze sobą zgodą braterską; z dusz, choćby na początek kilkudziesięciu, choćby kilkunastu, choćby nawet kilku! Taka, panowie, jest potęga ducha polskiego! Tego naszego skarbu, zdobytego pracą dziesięciu wieków i przekazanego nam przez ojców, a zbogaconego jeszcze ofiarą stuletniej naszej męki; tego skarbu, którego nie zabiorą nam żadni złodzieje... My tylko sami roztrwonić go możemy!

Chciałbym, panowie, być policzonym do onych nielicznych dusz; mniemam, że część ich znajdę między wybrańcami tego kraju i dlatego staję przed wami jako kandydat do Rady państwa.

O mojem tamże zachowaniu się, powiem w dwóch słowach.

W szczególności popierać będę dążenia, aby jak najrychlej obalić obecny sy-

stem rządowy, który wynosi jednych ze szkodą i poniżeniem innych.

W ogólności zaś, chcę najgorliwiej przyczyniać się, aby posłowie nasi zajęli w parlamencie wiedeńskim stanowisko podnoszące godność imienia polskiego, a polityka ich nie była, ani boleścią, ani zgorszeniem dla dalszych naszych braci, mniej od nas swobodnych, a patrzących na nas, jak na wschodzące słońce.

Zakończę, jeśli na to pozwolicie, panowie, wspomnieniem bardzo mi drogiem a tylko osobistem.

Miałem niegdyś sposobność zbliżyć się do Adama Mickiewicza. Pewnego razu, podczas rozmowy przystąpił do mnie nagle, i jak miał zwyczaj, wyprostował się, podniósł głowę, wysunął naprzód usta, i z tą stanowczością i naciskiem w głosie, które go zawsze cechowały, rzekł: Słuchaj, jeśli kiedy będziesz przemawiał do ludu — to nie mów ztąd — i wskazał na czoło — i za mało mówić ztąd — i wskazał na serce — ciągnij swoje słowo z głębi i szczerości ducha, jakoby z wnętrzności twoich.

Panowie! bez względu na to, czy ten głos podeprze moją kandydaturę, mówiłem do was jakoby z wnętrzności moich.

XXIV.

PRZEMOWIENIE

do Seweryna Goszczyńskiego przy ofiarowaniu księgi pamiątkowej "Sobótka" podczas obchodu pięćdziesięcioletniego jego jubileuszu literackiego we Lwowie.

(d. 7 marca 1875).

Czcigodny rodaku! Z hołdem i miłością stajemy przed tobą. W ich znak chcemy złożyć w twoje ręce księgę pamiątkową, poświęconą twojemu imieniu. A jak król nad swoją purpurą — za niskie to porównanie — jak mistrz nad arcydziełem, tak twój duch góruje nad twojem imieniem. Wiele dałeś ojczyźnie, więcej poniesiesz do Boga. Bo jest skarb, który się nieumniejsza, owszem, czem więcej się z niego czerpie, tem więcej go

przybywa. A do takiego mocarstwa dążyć powinni ludzie i narody, jeśli ich świetność i potęga nie mają być jako blichtr i wiatr.

Czcimy więc w tobie nietylko bohatera z Belwederu, nietylko wielkiego poetę, czcimy najbardziej człowieka, który niegdyś młody i krewki zasiadł do „uczty zemsty" — i wstał niezadowolony. Wstał i poszedł na święte pola bitew o niepodległość narodu; poszedł w podziemia jego dziejów i jego duchowych tajemnic; poszedł na ojczystych gór szczyty, gdzie wyżej słońce i Bóg, a niżej zdroje i lud; poszedł na obce schody gorzkiego tułactwa — a idąc potykał się może i upadał, a wstawał zaraz i szedł naprzód walcząc i cierpiąc, wątpiąc i wierząc — aż doszedł tam, zkąd mógł wysłać gołębia ze swojem „Posłaniem do Polski."

Wiem do kogo mówię. Mówię do jednego z czystych i wysokich i to ułatwia mi moje zadanie. Nie błahych pochwał ty żądasz. Ty wiesz, że duch dobry wtedy tylko zadowolony, kiedy wewnętrznie sam siebie pochwali — a czem on wyższy, tem trudniej się chwali.

Otoczyło cię szerokie grono wielbicieli — a jakże mało w nim twych towarzyszy i rówienników! Tu prawie wszyscy poczuwamy się do duchowego w obec ciebie synostwa. W lepszej części duszy każdego z nas znajdzie się i cząstka twego ducha. Należysz do tej jasnej gromady, o której możnaby powiedzieć, że posaży i podnosi swój naród, choćby na wieczność. Tak nie jest. Chciałbym, aby wiedziano i pamiętano o tem po całej Polsce, że jedno i drugie niegodne pokolenie, zmarnować może największe zasługi swych przodków i natchnienia wieszczów i wylaną krew swych męczenników — i że tacy marnotrawcy, wraz ze swem potomstwem idą potem w otchłań najsromotniejszej niewoli, a nawet ostatecznego zatracenia.

Pozwól, abym w imieniu mojem, i w imieniu tych, którym mam zaszczyt tu przewodniczyć, z miłością i wdzięcznością uścisnął twoją szanowną rękę. Ta ręka władała orężem — tą szablą polską, w której bywają dźwięki strun harfianych; ta ręka wydobywała ze strun siłę, co przeważa nieraz siłę miecza.

Na tem skończę — bo zdaje mi się, jakbym słyszał podnoszący się głos z two-

jej zbolałej, patryotycznej piersi: Czemu dla mnie tyle czci, kiedy mój naród w poniżeniu! Jednem mnie tylko wynagrodzicie: Polskę róbcie!

Oto książka. Składamy ci ją z tem życzeniem, abyś żył jeszcze długo i doczekał widoku robotników ojczyzny — gorętszych, liczniejszych i bardziej polskich, niźli oni byli w ostatnim lat dziesiątku.

XXV.

Mowa na pogrzebie ś. p. Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie.

(d. 27 lutego 1876).

W zamierzchu naszym z tego grobu bije blask. Zrywają się głosy jak olśnione ptaki. Był już głos potężny kapłana-patryoty, i drugi, gorący obywatela-patryoty, niechże idzie i mój, mniej wymowny. Ale ten grób wymowny — z niego pożyczę sił!

Przemówić chcę w imieniu polskich literatów i artystów, bo kraina ducha jedna — w tej trumnie jeden z jej mocarzy, jeden z naszych wodzów. Nie będę opowiadał żywota jego — uczyniono to już przedemną. Są ludzie, którzy swojem życiem, kreślą jak gdyby ewangelję — nie potrzeba jej powtarzać, a daje ona treść do zbawiennej dla nas nauki.

Wzorem byłeś cnoty i czystości; walczyłeś za prawdę i cierpiałeś dla niej. O duchu! bądźże miłościw, nam twoim dzieciom, i wspieraj nas. Powiedz nam, że szata nasza, jak szata kapłańska, nie znosi plam! Często ona zmięta i podarta, bo my idziemy przez ciernie, i szarpią nas źli. Społeczeństwa w upadku nie lubią prawdy i mszczą się na jej głosicielach.

Lecz jeśli ta szata oprószona, to już nasza wina. Cóż robić? otrząść się i otrzepać! A jeśli już splamiona?.... to ją wyprać łzami!

Byłeś, twardy surowy, niezależny — jednego tylko znałeś Pana. O jak biedny choćby w talent bogaty, jak niedołężny, choćby we władzę potężny, kto nie uznaje nad sobą arcymistrza: Tego w niebie — tam!

Służmy dobru, prawdzie i pięknu. To trójca nierozdzielna, to dogmat sztuki i mądrości bożej. Starą nodlitwę Doryjczyków „daj nam dobre przez piękne" zastosujmy inaczej. Dawajmy piękne — tylko dla dobra i prawdy.

Kto zlepkiem gliny — błądzi. Nie ma tu na ziemi nieomylnych. To co łagodzi

nawet złe: to szczerość i prostota. Błądzimy i mylimy się, często i bardzo, bracia literaci i artyści — niechże przynajmniej to co dajemy, będzie zawsze szczerem, niechaj idzie z ducha, a opamiętanie nastąpi. Hańba tym, co frymarczą swoim talentem, co, dla własnego interesu, schlebiają złym namiętnościom ludzkim, co nie wypowiadają tego, czego ich dusza chce, ale to, czego inni chcą.

Spocząłeś, drogi mistrzu, nie doczekawszy tryumfu dla myśli twojej. Ale ty przynajmniej szedłeś w tłumach wielkich, my idziemy samotniejsi.

Oto twój „dom ubogi" — cichy, wązki, ostatni; pokój temu domowi — a nam dalszy bój!

XXVI.

Przemówienie do Mieczysława Darowskiego przy ofiarowaniu mu pamiątkowego albumu od jego przyjaciół we Lwowie.

(d. 17 kwietnia 1876).

Opuszczasz nas, drogi Mieczysławie, a my, mała cząstka twoich licznych przyjaciół, przychodzimy, aby cię pożegnać i złożyć w twoje ręce skromny podarek pamiątkowy. Na jego karcie umieściliśmy taki napis:

MIECZYSŁAWOWI DAROWSKIEMU
niestrudzonemu w służbie Polski;
przez całe życie ostrzem obróconemu
przeciw jej wrogom, a sercem, miłości
pełnem, ku rodakom.

Zdawało nam się, że w tym napisie zawarliśmy prawie wszystko, czem zdo-

byłeś dla siebie naszą cześć i miłość. Stałeś zawsze twardo, ostro, walcząc wobec ciemiężców naszej ojczyzny, jak na dobrego syna krzywdzonej matki przystało. I byłeś takim i wtenczas, kiedy cały kraj uznawał za patryotyczne, obrać demoralizującą politykę bezwzględnej dla zaborczego rządu uległości.

Jest prawo, że żaden grzech, ani cnota, nie stoi nigdy pojedyńczo, bo rozradza się szybko w inne grzechy i cnoty. I jest drugie prawo, że złe, w pierwszej chwili, płodniejszem jest, niźli dobro. Toż wskutek takiej polityki rozszerza się coraz bardziej u nas samobójcze zwątpienie — (a naród, czy człowiek wtedy dopiero upada, kiedy zwątpi o sobie) — ale ty Mieczysławie zachowałeś wiarę. I kiedy, w dalszym ciągu, ze zwątpienia urodził się jego syn egoizm i drugi syn materyalizm — twoje serce pała zawsze potrzebą miłości i ofiary.

Walczyłeś z wrogami Polski, dawałeś i odbierałeś cięcia — blizny nosisz na twojem poważnem czole; prześladowano cię i gnębiono: to w porządku. Ale na twoją miłość dla rodaków odpowiadano także nieraz cięciem — kamieniem za

chleb — to boleśniejsze. Prędko goiłeś takie rany cudownym balsamem chrześcijańskiej wyrozumiałości i przebaczenia. Z temi bliznami na czole i na sercu staniesz kiedyś, oby jak najpóźniej, przed Bogiem. Dobrem one będą dla ciebie świadectwem.

A tymczasem żyj nam długo, zawsze krzepki czynny i gorący. Tem słowem i i takiem życzeniem żegnamy cię.

XXVII.

Mowa na obchodzie rocznicy śmierci ś. p. Adama Mickiewicza, urządzonym staraniem młodzieży akademickiej we Lwowie.

(d. 26 listopada, 1876).

Ten, którego rocznicę śmierci z pochwały godną uroczystością od wielu lat obchodzicie, kochał przedewszystkiem prawdę, — żył dla niej, wypowiadał ją głośno, z odwagą, i co za tem idzie — cierpiał za nią; a cierpiał przeważnie od własnych. Kiedy w bardzo młodym wieku, popchnięty nieprzezwyciężoną siłą, znalazłem się w pobliżu naszego wielkiego Adama, wielu z rodaków znakomitych imion, mówili mi o nim: „To waryat!" Wiem skądinąd, że w pierwszych latach emigracyi, kiedy Adam brać zaczął udział

w wewnętrznych jej walkach i pracach, odbierał on bezimienne listy polskie, szkalowań pełne; w jednym z nich znajdował się sznurek.... I była chwila — tylko chwila — bo Adam mógł i umiał wznosić się po nad powszednie, przemijające gwary świata — ale była chwila, w której ten wielki, czysty duch zapragnął już tylko ciszy i wspomnienia, i chodził z myślą, czy wstąpić do klasztoru, czy odebrać sobie życie!... Zgroza! — powiecie. Tak, to zgroza, ale zwyczajna i powtarzająca się od wieków. Proroków, ludzi ducha, zawsze kamienują, potem stawiają im posągi i głoszą, że byli zaszczytem dla ludzkości.

A jaka przyczyna tych przeciwieństw? Oto ta, że ludzie ducha podnosząc się w nim własną, wewnętrzną pracą, zanadto kochają i czczą wszystkie zdobyte dla siebie prawdy. Nie lubią ich przemycać — raczej wolą je stawiać otwarcie, stanowczo, szorstko, nieraz brutalnie szorstko; nie pochlebiają oni nikomu, nie dbają o popularność, o tę zdawkową monetę sławy; narażają sobie mnóstwo ludzi, i bywają posądzeni o wielką dumę, a nawet o pychę. Zwykle na to nie zasługują. Pokor-

ni oni są w obec Boga, w obec ojczyzny i tych ojców, co dali jej chwałę; że nie są takimi w obec żyjącego ogółu, tego im ogół nie przebacza, a nie mogąc ich dosięgnąć — poniża.

Mają słońca swoje promienie, i robaczek świętojański ma także swoje światło. Mam i ja swoje prawdy, które zdobyłem w boleściach mego ducha, a takie, które zdają mi się na dzisiaj potrzebne, są te: Że naród, to zbiorowy człowiek, i tym samym podlega prawom moralnym, jak każdy pojedyńczy człowiek; że każde nieszczęście, każde złe, ma swoje źródło w poprzedzającem złem; że grzech nienaprawiony, nieodkupiony, rośnie i wzmaga się przez potęgi matematyczne; że dość już było skarg i narzekań na Boga, na losy, na naszych wrogów — bo wina była w nas i dlatego upadliśmy, i wina jest w nas i dla tego podnieść się nie możemy.

Jak owe prawdy, tak kocham ciebie, młodzieży polska, bo w każdem twojem dorastającem pokoleniu zdaje mi się, że widzę lepszą przyszłość dla mego narodu. Kocham was, moi drodzy, więc powiem to, czem przepełniona dusza moja.

Jesteście dziećmi zwątpienia. Nie wasza w tem wina — ona otacza was od lat kilkunastu jak powietrze i zaraziliście się jego oddychaniem. Zwątpiali — szukacie nowych dróg, a te drogi już znane i okazały się błędnemi. Jest tylko jedna droga — po niej szedł nasz naród w złotej epoce świetności swojej; droga to zaniedbana, opuszczona, trawą zwątpiałych zarośnięta.... gdzieś w jej oddali świeci biała szata promieniejącego Chrystusa!... idzie prawie samotny... Oto jedyna droga dla wszystkich upadłych i cierpiących. Podnieście i rozwińcie sztandar Polski opuszczony i wkroczcie na tę drogę, jeżeli wam miłą ojczyzna i jej zbawienie. Żyjemy w strasznych czasach: kto mówi „Bóg!" — tego posądzają o klerykalizm; kto mówi: „duch" — o tym prawią, że jest mistykiem, sekciarzem lub wizjonerem; kto wykrzyknie: „ojczyzna!" — ten już chyba marzy o nowem powstaniu. Trafiało się to i mnie, a ja byłem i jestem tylko szczerym Polakiem.

Wypowiedziałem prawie nawiasowo trzy słowa, a teraz widzę, że jest w nich wielkie, zasadnicze dla Polski znaczenie:

„Bóg" — „duch" — „ojczyzna!' Ach! gdyby jedno młode pokolenie chciało wypisać te święte słowa nietylko na chorągwi, ale i w sercach swoich — byłaby Polska! I nie ta wyżebrana dyplomatycznemi sztukami, nie ta, któraby mogła stać się jednym więcej fałszywym dźwiękiem w orkiestrze świata — ale ta, ocalona własną siłą i wolą, ta prowadzicielka całej orkiestry, strojąca ją do swego wysokiego tonu, prowadząca ją z piętra na piętro, coraz wyżej, coraz jaśniej, aż do stóp niezbadanego Stwórcy, i tam dyrygowałaby wiecznym hymnem na cześć Jego!

Nie mówiąc już o tych duszach, w których jest jeden tylko wyraz, ten wyraz: „Ja" — rozważmy, czy wiele u nas takich serc, w którychby się znalazły wszystkie owe trzy słowa? Ja sądzę, że bardzo nie wiele — i przeważnie stoimy tak: w sercach, w których słowo: Bóg nie ma słowa ojczyzny; a w tych, gdzie ojczyzna, tam nie ma Boga; a gdzie Bóg i ojczyzna, tam nie ma ducha, t. j. nie ma ożywienia; i w tem nasza nędza, i grzech i potępienie, i dla tego nie ma Polski! I

jeśli lepiej między nami nie będzie, to jej nie będzie.

Młodość, to szczerość! Czyż ja mógłbym was podejrzywać o nieszczerość? Czyż miałbym prawo zapytać was, was do których uszu tak często dochodzą zasady dzisiejszych postępowców, że poezya to głupstwo, że jest, co najwięcej, marnym, pięknym dźwiękiem; że dla nas w szczególności poeci są szkodliwymi; że ideały nie są dla ludzkości jej skrzydłami, lecz są zaporą, kamieniami rozrzuconemi na drodze jej życia — czyż miałbym prawo was zapytać, w jakim celu obchodzicie co roku uroczystość, poświęconą pamięci Adama? Czy to ma być jedno więcej z tych zgromadzeń, tych obchodów, tych widowisk, na które Lwów od dawna jest łakomy, a gdzie nieraz jest tłum i zgiełk, i są piękne mowy, a mało jest ducha; czy mógłbym was tak zapytać? Nie!

Bo ja wiem, że wy tym obchodem powtarzającym się rok rocznie na cześć największego z naszych wieszczów, że wy mnie, poetę, zapraszając dość często do głosu — że wy chcecie tem odpierać i bronić się przeciw tym szkodliwym prą-

dom, które was zewsząd otaczają i porwać pragną. Dusze wasze młode, szlachetne, niezepsute, czują instynktowo, że bez poezyi i bez ideałów nie ma trwałego, cnotliwego życia, ani dla człowieka, ani dla narodów; że my Polacy odarci z ojczyzny, z tej państwowej naszej powłoki, my nadzy, o tyle tylko jesteśmy coś warci, o ile możemy wykazać wewnętrzną wartość naszego ducha. Niechże ta nagość nasza błyska klasyczną pięknością. i niech będzie wyrzutem i wstydem dla tych szkieletów, co obleczone w purpurę — a cuchną!

Jako powiedziałem, podnieśliście broń odporną — niech wam ją Bóg błogosławi — a niech błogosławi po dwa kroć, jeżeli ją zamienicie na broń czynną. A jeżeli wam do tej zamiany zabraknie sił, to czerpcie otuchę i siłę przy tym Zniczu, przy tem ognisku płonącem dotąd w czystości swojej, a które daje nam wiarę, że jeszcze nie zginęliśmy — czerpcie je u nóg waszych matek, u serc waszych sióstr, u tych kapłanek ojczyzny, u tych polskich niewiast, których część widzę tam nad nami zgromadzoną, a które patrzą na nas z góry, i błyszczą, jak kwiat nad ło-

dygą — jak płomyk na czole genjusza narodu!

Lecę!... ale miłość moja dla was, każe mi zejść na ścieżkę praktycznej dla was rady. Oby ona stała się streszczeniem, oby była płodnem ziarnem całego mego przemówienia. W imieniu Adama raz jeszcze powtórzę wygłoszone tu już kilkakrotnie słowo jego: „Razem młodzi przyjaciele!” Brak wam solidarności, brak serdecznego koleżeństwa, nie zastąpią go żadne „bratnie pomoce” jesteście sztywni, nieufni między sobą, za mało macie ruchu, bo mało macie ciepła w sobie — a i wtem nie nasza wina. Wszakże uformowało się u nas całe srtonnictwo, które ma sobie za obowiązek i zasługę oblewać was zimną wodą, i gasić każdy żywszy, choćby najszlachetniejszy objaw waszego młodego życia. Odrzućcie precz tych opiekunów, którzy wam odbierają młodość i rozbijają was. W złej, czy dobrej chwili: „Razem młodzi przyjaciele!” Stójcie zwarci w jednym szeregu, zwarci pracą, miłością, nadzieją! Stać w szeregu, to rzecz święta naszego obowiązku; stać w szeregu, aby mieć „czucie” żołnierskie na pra-

wo i na lewo, stać w szeregu, jakby z nabitą bronią!!... choćbyśmy długo, bardzo długo czekać musieli na grzmiącą trąbkę, wzywającą nas za ojczyznę do boju...

XXVIII.

Mowa na prywatnem zgromadzeniu w rocznicę narodowego powstania z r. 1863.

(d. 22 stycznia 1877).

Do komisyi śledczej w cytadeli warszawskiej przywołano więźnia skrępowanego. I powiedziano mu: Car nasz wielki, miłościw dla ciebie, raczył cię obdarzyć większą swobodą; jak widzisz, już nie masz kajdan na sobie, tyko postronki — mów więc śmiało. I zapytano go: Czy kochasz cara? Odpowiedział więzień: Kocham Boga i Polskę. I zapytano jeszcze: Czy wierzysz w carską moc i potęgę? Odpowiedział ów: Wierzę w miłosierdzie boże i zmartwychwstanie mojej ojczyzny. Więc z okrzykiem: Bunt! buntownik! rzucono się wściekle na niego i powalono go na ziemię, i plwano mu w twarz, i w

twarz go bito. On natenczas modlił się. Tyranów obraża i trwoży dumny spokój i cierpliwość — toż deptano i krwawiono go coraz zawzięciej i urągano jego modlitwie. Zerwał się więzień jednym rzutem, stargał pęta i z gołą pięścią porwał się na zbirów. I walka straszna trwała długo; on sam jeden przeciw dziesięciu, on bezbronny przeciw zbrojnym. Aż go w końcu zmożono i powleczono na męki.... a dom jego spalono, a część jego dzieci wymordowano..

I któż z was nie domyśla się, że mówiłem o ostatniem naszem powstaniu.

A gdyby ktoś, rzecz dalej ciągnąc, jeszcze dodał, że między licznymi braćmi tego nieszczęśliwego, znaleźli się tacy, co zamiast użalić się nad jego losem i ogarnąć go współczuciem, oni zaniepokojeni możliwą odpowiedzialnością za swoje z nim pokrewieństwo, oni pragnący przedewszystkiem zastrzedz się, choćby na całą wieczność, przed każdem z nim wspólnictwem — zawołali w oburzeniu: To głupiec! ba, to zbrodniarz nawet! Należało mu przyjąć carskie łaski z wiernopoddańczą wdzięcznością, a postronki, co zawsze

lżejsze od kajdan, nosić dalej z uśmiechem zupełnego szczęścia i rozpromienienia; po co mu było wyskakiwać z miłością ojczyzny na dachy — ten mądry, co pielęgnuje ją w ukryciu, choćby w kloace; po co te modlitwy, co obrażają i trwożą tyranów; a już to jego porwanie się z gołą pięścią — jak nazwać! Kiedy go deptano i pastwiono się nad nim powinien był ścierpieć udając trupa... od czego duch silny! A teraz jam w niepewności i ambarasie o mój własny byt i spokój. A te jego dzieci rozproszone co chwila pukają do moich drzwi... Wszak to nie moje, to obce.

Jakto?! Więc były takie głosy? Więc w obec mogił jeszcze niezarośniętych, w obec strumiennie rozlanej krwi, co nie miała czasu spłynąć do naszego morza czerwonego; w obec niezwalonych szubienic, na których wspomnienie mdleją matki przebite siedmiu mieczami boleści; w obec tysięcy naszych braci skazanych na zaludnienie cmentarzów syberyjskich; w obec tysięcy innych, mrących nieraz w rozpaczy u zamkniętych bram cudzoziemskich domów... Jakto?! w obec tego

wszystkiego, czy mogły być takie głosy?...

Na waszych czołach zgrozą sfałdowanych nad spuszczonemi oczami, widzę wypisane: Były i są jeszcze!

Ach! przez tak srogie piekło jeszcze Polska nie przechodziła! I już nam nie wystarczy dantejskie „Guarde e passa.” Jak my teraz, tak kiedyś historya narodu musi zasłonić oczy — aby przejść!

Powstanie w r. 63 było nieuniknionem. A niech mi będzie wolno tu wspomnieć, że należałem wówczas do tych, którzy na pierwszą o niem wiadomość zapłakali jakby nad wielkiem nieszczęściem, (co nam jednak nie przeszkodziło przyłączyć się całą duszą do ruchu narodowego). Prowakacye szły do Moskwy — a były one tak dotkliwe, tak targające za trzewia najżywszych uczuć, nietylko patryoty, ale człowieka, że gdyby one były przeszły bez krwawego z naszej strony protestu — wykopalibyśmy sobie grób może na zawsze. „Naród, gdy traci w sobie poczucie cześci — umiera”; wyrzekł niedawno jeden z największych naszych mistrzów słowa. Ta cześć większą ma

wartość, niźli krew i mienie; ich ubytek sprowadza tylko zubożenie, z którego się jeszcze podnieść można, lecz utrata czci — zabija. A mówiłem o zubożeniu materyi, bo w świecie ducha rachunek brzmi inaczej. Krew i mienie choćby rozrzutnie poświęcone dla wzniosłej idei — nie marnieją. Ofiara taka nie jest płonną — jest płodną — a plon nieraz zbierają dopiero wnuki.

Więc ci mali a zgarbieni, patrzący przed siebie na krok jeden, niech nie urągają tym co stoją na wyżynach ducha, skąd dla nich odsłaniają się widoki, o których tamci nie mają pojęcia; a ci biedni i zbłąkani, co odwracają się od żywej rany bliźniego, aby chwalić i szukać Boga w martwej literze zakonu, niech nie potępiają tych, co widzą Jego mądrość i sprawiedliwość rozlaną na całej przestrzeni ziemi i niebios!

Może w krótce usłyszymy łomot i grzmot wielki: to pękać i rozlatywać się będzie góra nieprawości, ta najbardziej nas gniecąca. Za rok sześćdziesiąty trzeci zapłaci jej Nemezis rokiem „dziewięćdziesiątym trzecim!"

A nam w obec nadchodzącej nadziei co robić? Sił nierozpraszać, wewnętrzne spory koić, nawet odstępców, jeśli się skruszą, przygarnąć, chromych podeprzeć, ciemnych poprowadzić, podnieść ducha do Boga — i czekać!

XXIX.

NASZ ORZEŁ.

Wiersz wypowiedziany na zebraniu u p. A. S. we Lwowie w pierwszą rocznicę śmierci ś. p. Seweryna Goszczyńskiego.

(d. 25 lutego 1877).

Na moje biedne mieszkanie
Bije słota,
Wicher się miota...
Ale przed mgłami zamknięte;
W niem na jednej ścianie
Umieściłem godło święte.
I samotny patrzę w ciebie,
Na krwawym utkwiony niebie,
Ptaku czystości i chwały:
Orle nasz biały!

Potężnych twych skrzydeł końce
Mierzyły w słońce;

Dzisiaj w cierpieniu i męce
Trzymasz je także do góry,
Lecz jak błagalne dwie ręce, —
O białopióry!

Trzech..... trzy mięcze
W tobie utkwiły;
A każden inaczej piecze
I innej próbuje siły:
Jeden w twem sercu świdruje,
Drugi obłudnie cię truje,
Trzeci urąga, gdy szarpie...
Ho, harpie!!...
Gdybyż te tylko!... W twem łonie,
Po drugiej, serdecznej stronie,
Tkwią jeszcze inne, aż cztery,
Sroższe od tamtych rapiery
Wbite po rękojeści...
O ptaku siedmiu boleści!

Tyle krwi z ciebie wyciekło!
A do każdej jej kropelki
Jad szyderstwa domieszany;
Tyle cierpiałeś bez miary,
W drodze pokuty i kary,
Że jużby się samo piekło
Zemsty nad tobą wyrzekło...
A cóż dopiero Bóg wielki,
Miłościw, choć zagniewany!...

Anielskie miałeś oręże
I pochopne do nich męże;
W takiej zbroi,
Jużby ciebie do tej chwili
Wywalczyły bohatery,
Jużby ciebie wymodlili
Święci twoi...
Gdyby nie te miecze cztery...
Ach, te cztery!

Napróżno wołasz do Boga: o Ojcze!
Nieznaleść tobie pociechy...
Bo cztery miecze, te miecze zabójcze,
To twych dzieci własne grzechy:
Nasza „Pycha" i „Prywata"
I „Lenistwo" i „Obczyzna".

Pośród pogańskiego świata
Nie prędzej wskrześnie ojczyzna,
Aż ból szczery i żal szczery
Tak nam ducha nie owładną,
Że wyrwiemy miecze cztery...
Tamte trzy wtedy wypadną.

SPIS RZECZY.